EDWARD ROSSET

POLSKA roku 1980

Gospodarka planowa, gospodarka socjalistyczna wymaga nie hipotetycznych, lecz jak najbardziej realistycznych prognoz demograficznych. Planowaniu gospodarczemu potrzebne są prognozy mówiące o tym co będzie, a nie o tym co mogłoby być.

Sternicy gospodarki narodowej muszą zawczasu wiedzieć, jaki będzie w przyszłości stan ludności, jak liczny będzie odłam dzieci, młodzieży, ludności w wieku produkcyjnym i poprodukcyjnym, jak się ukształtuje w każdej z tych grup liczba mężczyzn i kobiet, jak liczne będą szeregi ludności miejskiej i wiejskiej. Zadowalającą odpowiedź na te i im podobne pytania dać może tylko prognoza typu realistycznego.

Historia prognoz demograficznych w Polsce nie różni się od ich historii w innych krajach. I u nas — tak jak gdzie indziej — prognozowanie stało się chlebem powszednim statystyków i demografów. I u nas wycofywanie się z ogłoszonych, nie trafnych przewidywań stało się zjawiskiem nagminnym.

Pierwsze prognozy demograficzne zostały wykonane w Polsce jeszcze w okresie wysokiego nasilenia płodności. Wprawdzie zdawano sobie już wówczas sprawę z nietrwałości tego stanu rzeczy, ale brak orientacji co do tego, jakie rozmiary przybierze spodziewany spadek płodności, podyktował demografom nierealną, ale na razie wygodną, bo nie angażującą hipotezę niezmiennej płodności odpowiadającej ultra-wysokiemu poziomowi urodzeń z roku 1954. W ten sposób powstała prognoza na lata 1955—1975 operująca fantastycznie wysokimi perspektywicznymi liczbami dzieci i młodzieży oraz ludności ogółem.

Odkąd płodność zaczęła się cofać, nierealność oficjalnej prognozy stała się rażąca. Zaczęto ją wówczas korygować, ale znowu dosyć lękliwie, bo autorzy poprawek nie umieli sobie wyobrazić, jakie rozmiary z biegiem czasu osiągnie już działający spadek płodności. W dniu 6 marca 1961 roku ukazał się na łamach „Trybuny Ludu" artykuł noszący tytuł: „W roku 1975 będzie nas o 3 i pół miliona mniej niż przewidywano". Nowe opracowanie Zespołu Badań Demograficznych GUS. Był to, rzec można, oficjalny nekrolog zdezawuowanej przez życie prognozy demograficznej. Runął zresztą nie tylko ten rachunek perspektywiczny. Podobny los spotkał i inne, nazbyt optymistyczne szacunki.

Jak potoczy się do 1980 r. rozwój ogólnej liczby ludności?

Pierwotny, dziś już zarzucony wariant polskiej prognozy demograficznej przewidywał osiągnięcie przez nasz kraj w 1975 roku 37,5 mln ludności. Ekstrapolując ów rachunek perspektywiczny w dalszą przyszłość, doszlibyśmy do liczby 40 mln mieszkańców w roku 1980 i do 50 mln u schyłku stulecia. Taki byłby rozwój ludności Polski, gdyby płodność utrzymała się na poziomie 1954 roku.

Najnowszy spadek płodności rozwiał te rachuby. Według prognozy Komisji Planowania przy Radzie Ministrów rozwój ludności Polski ma się potoczyć w okresie perspektywicznym (1960—1980) jak następuje:

1960	29 749 000
1965	31 567 000
1970	33 414 000
1975	35 372 000
1980	37 351 000

Z podanych liczb wynika, że w okresie perspektywicznym ludność Polski będzie wzrastała z dziesięciolecia na dziesięciolecie w przybliżeniu o 2 miliony osób.

(Dalszy ciąg na str. 4)

1 czerwca — MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ DZIECKA

Foto: A. G.

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok VI.
Łódź, 2. VI. 63.
Nr 22 (274)
Cena zł 1.—

KRZYSZTOF POGORZELEC

Tak wygląda dom Lucjana Rydla w Bronowicach

OBYWATEL ATOM

— Do Bronowic.

Taksówkarz spojrzał na mnie z ukosa.

— Pan może do tych atomów?

Jeszcze pięćdziesiąt lat temu krakowski fiakier miałby wątpliwości czy obcego franta powieźć pod dworek pana Rydla, czy też może prowadzić do Gierymskich, Tetmajerów, albo do samego pana Stefana Wyspiańskiego. A teraz pyta — do atomów?

Więc — tak, do atomów.

Podobno, gdy w podkrakowskich Bronowicach zaczęto wznosić budynki oraz instalować aparaturę przyszłego Instytutu Fizyki Jądrowej, po okolicznych opłotkach gruchnęła stugębna plotka: zarażą nam tu wszystko naokoło, zielenizna uschnie, a z mlekiem od własnej Krasuli też koniec, bo wszystkie krowy w okolicy... staną się atomowe!

Słowem — ratuj się kto może, a najlepiej to od razu słać do samego „burmistrza" Motyki, a może nawet lepiej do drugiego ważnego Krakusa — na delegacji w Warszawie — premiera Cyrankiewicza. Jednak plotka i tym razem miała krótkie nogi. Spotkanie z dyrektorem Instytutu — prof. dr Henrykiem Niewodniczańskim z mieszkańcami „zakonserwowanych" w oficjalnym rezerwacie etnograficznym Bronowic do końca rozwiało obawy. I tak dworek Lucjana Rydla, ten z panawyspiańskiego „Wesela", do którego oknami zaglądał słomiany chochoł, żyje i istnieje w zgodnej symbiozie z nowoczesnymi budynkami Instytutu Fizyki Jądrowej, a nawet chwali sobie nieraz to sąsiedztwo jak i inne chałupiny, gdyż naukowcy to też ludzie

Dalszy ciąg na str. 5

TADEUSZ PAPIER

JAKIE BIJĄ DZWONY?

Ja o swoim życiu nie opowiadałem nikomu; nie lubię tego. Skoro redaktor jednak nalega, to proszę, nie mam nic do ukrywania. Ale nazwiska niech pan nie wymienia. Są lepsi ode mnie. Młodsi i starsi. Gdybym miał kogoś polecić, to na przykład takiego Józefa Najdera z Rokicin. Może pan do niego zajść, przekona się pan, czy mówię prawdę. Przedwojenny wiciarz, a i teraz nie ucieka od pracy społecznej. Ma dwie córki, obydwie kształcą się w Łodzi. Komu zostawi ziemię? Nie wiem. albo Jan Gionek z Michałowa. No wie pan, temu warto poświęcić osobny artykuł. Ma ogromne zamiłowanie do bydła. Hodowca z niego na całą okolicę. Jednego syna uczy w Technikum Elektrycznym w Łodzi, ale drugiego trzyma w domu. Nie wiem, może tam się coś zmieniło, w każdym razie ten człowiek bardzo mi się podoba. Nie zachodzimy do siebie, ja tam nie lubię towarzyskiego życia, zresztą czasu nie mam na takie rzeczy. Pan wie, jak to jest na wsi. Chce pan jeszcze dalszych przykładów, ja bym mógł wymienić całą litanię nazwisk. Taki Stanisław Cuper z Łaznowa. Właśnie, Cuper, dlaczego jego nazwiska nie wymieniłem najpierw? Ja panu, redaktorze, powiem. Niech pan tego człowieka opisze. Wie pan, nawet nie chodzi o szczegóły. Mnie się on ogólnie podoba. Zresztą, niech pan słucha. Cuper jest młody, ale rozumu to on posiada więcej niż niejeden stary. Ojciec jego praktykował u Solarza. Wystarczy? Pamięta pan uniwersytet w Gaci? Jeśli dodam, że ojciec zginął w Oświęcimiu, to pan zrozumie teraz Stanisława. On ma za sobą piękny życiorys. Trafnie to pan określił, on wypełnia testament ojca. Rzeczywiście, mógł zapomnieć o ojcu, o jego

Dalszy ciąg na str. 2

JAKIE BIJĄ DZWONY?

Dalszy ciąg ze str. 1

śmierci, życie ma swoje prawa. Ale Stanisław nie zapomniał. Te same dzwony, które wzywają ludzi na nabożeństwo, mogą wywoływać czasami zgoła przeciwne uczucia. Pamiętam, w 33 roku wybuchł w Tomaszowskich Zakładach strajk. Byłem wtedy chłopakiem, kawalerkę już odstawiałem i te rzeczy mnie obchodziły. Granatowi obstawili fabrykę, ale robotnicy rzucili się do dzwonnic kościelnych, zaczęli bić w dzwony, ja byłem wtedy z ojcem w Tomaszowie, więc dotychczas pamiętam te dźwięki, które przepełniały miasto. Wie pan, do śmierci będę pamiętał te dzwony. Najbardziej mnie to poruszyło, że z okolicznych wsi przybywali pieszo i konno chłopi, by bronić robotników. Mój ojciec był twardy, nie podlegał łatwo wzruszeniom, ale kiedy usłyszał pierwsze uderzenia i te jęki, które się rozchodziły nad miastem i kiedy potem zobaczył chłopów spieszących do miasta, to mówię panu, łzy mu tak ciekły jak nigdy. Mówię o tych sprawach, bo ojciec już nie żyje. Zastrzelili go w czasie wojny.

Ale wracając do Cupera. On jest młody i nie był świadkiem tych zdarzeń. Ale i on ma swój dzwon, który go pilnuje i który mu wskazuje drogę. Jak inaczej wytłumaczyć postępowanie młodego chłopaka, który rządzi gospodarką jak stary, doświadczony rolnik, uczy się na kursach, w Technikum i dba przede wszystkim o to, aby wykształcić brata i siostrę. Poświęcenie, mówi pan? Ale poświęcenie to tylko forma; no tak, mieści się tu i stosunek do zawodu. Lecz przecież Stanisław musi wierzyć, że praca, której się podjął, daje mu nie tylko zadowolenie. To

„Dziś jeden traktor przypada u nas na 480 ha, a przy stanie 28.680 ciągników do 1980 r. przypadać będzie 1 traktor na 44 ha użytków rolnych. Dzisiaj są już wsie i gromady w województwie, w których 1 ciągnik z zestawem maszyn rolniczych przypada na 60—100 ha użytków rolnych i stopień mechanizacji prac rolnych w tych wsiach wynosi 50—60 procent",

wygląda tak, jakby dzwony w Tomaszowie wciąż biły. My te dzwony tomaszowskie wciąż słyszymy. Wie pan, jak sobie nieraz pomyślę o czasie, który zostawiliśmy za sobą, to mi się wierzyć nie chce, że człowiek to wszystko przeżył. Młodzi dzisiaj nie rozumieją tych zestawień dnia wczorajszego z dzisiejszym. Często nawet nie chcą o tym słuchać. Śmieją się, kiedy im opowiadać o dzieleniu zapałki na cztery części, albo o pożyczaniu ognia od sąsiada. Oni widzą tylko dzień dzisiejszy i ładne jutro. Powiedziałem kiedyś na zebraniu, że przed wojną w naszym województwie na sto małych, dwuhektarowych gospodarstw przypadało 13 wozów, 11 pługów, 11 bron. Redaktorze, żeby pan słyszał jaki śmiech gruchnął: trzynaście wozów na stu gospodarzy. Wstał jeden i wylicza mi, ile to dzisiaj pracuje ciągników, agregatów, w tysiące to idzie i w miliony złotych. I jeszcze mądrala powiada, to za mało, to jest nic. Mnie to odezwanie zabolało. Nie

„Produkcja zbóż z 1 hektara powinna wzrosnąć z obecnej średniej ostatnich 3 lat, wynoszącej 16,8 q do 24 q/ha, ziemniaków ponad 200 q/ha, buraków cukrowych do 320 q/ha. Pogłowie bydła powinno się zwiększyć o 50 proc., tj. do 75 sztuk na 100 ha użytków rolnych średnio w województwie, trzody chlewnej o 25 proc. — do 91 sztuk na 100 ha średnio w województwie",

dlatego, żebym był wrogiem postępu w rolnictwie i mechanizacji. Sam pierwszy podałem wniosek, żeby w naszym kółku rolniczym postawić sprawę remontu maszyn. Ale ci młodzi zupełnie zapominają o tym życiu, które dało początek temu nowemu. Niech pan powie, redaktorze, czy ja wymażę z pamięci Tomaszów? Czy ja zapomnę wypowiedzi moich rówieśników, które można jeszcze i dziś przeczytać w „Pamiętnikach chłopów" czy pamiętnikach „Młodego pokolenia chłopów"? Niech pan weźmie do ręki te książki, niech pan przeczyta te wstrząsające spowiedzi ludzi, którzy przechodzili przez areszty, więzienia, tych, którzy, jak piszą, chociaż z dnia na dzień konali wraz ze swoimi rodzinami, nie chcieli jak pies węszyć tam, gdzie za ochłap razowej mąki każą się sprzedawać, prawowolnie wykonywać nałożoną nędzę bez buntu... Ja panu godzinami mogę mówić z pamięci, bo tak, jak teraz opowiadam o swoich sąsiadach, tak mogę opowiadać o sąsiadach ojca. Co pan powie na wyznanie zrozpaczonego człowieka, który pisze, że pierwsze dziecko umarło mu z głodu, on był właśnie na zebraniu, a córka skonała mu w ten sam wieczór, a właściwie nad ranem, nie mogąc się doczekać ojca. Umarła z powodu złego odżywiania i przeziębienia, a później z braku pieniędzy na jej leczenie. Ten ojciec potem krzyczy: „Pisać nie mogę dłużej o tym, gdyż serce mi chce z żalu pęknąć i krztusi mnie coś za gardło. Niech przeklęty będzie ustrój i rządy, które do tego doprowadziły".

Więc o tych sprawach nie wolno zapominać, a ja bym, za pozwoleniem pana, chciał jeszcze przedstawić jednego człowieka, pan przypomina sobie komunistę Macieja Marusika z „Pamiątki z Celulozy"? No więc w Rokicinach żyje brat tego Marusika z książki. Niech pan pomyśli: brat bohatera z powieści. Muszę jeszcze dodać, że scena, którą opisał Neverly w swojej powieści, kiedy strajkujący robotnicy otrzymują pomoc od chłopów, dla mnie jest prawdziwa, tak działo się przecież w Tomaszowie, i tak działo się w Piotrkowie w czasie strajku robotników „Hortensji" w 32 roku. Dobrze pamiętam ten strajk, bo ojciec mój zawsze kręcił się tam, gdzie było gorąco. Przez cały dzień przyjeżdżały do Piotrkowa fury załadowane chlebem i ziemniakami, chłopi w ten sposób pomagali robotnikom. „Sojusz raz, sojusz dwa, sojusz trzy" — jak pisze Neverly. Mógłbym jeszcze podać wiele przykładów i wiele ciekawych ludzi przedstawić redaktorowi, chociażby Józefa Feję, kierownika szkoły i innych nauczycieli i chłopów, ale sądzę, że te przykłady, które przytoczyłem, powinny wystarczyć; pytał się pan o moje życie, ono właśnie było podobne do życia tych wszystkich, dla których przed wojną nie było pracy, bo nas przezywali komunistami. Kiedy pytałem się tuż przed wojną o robotę odpowiedzieli mi, niech ci komuniści dadzą. Odchodziłem z kwitkiem od wielu drzwi, a zostawało mi tylko uczucie krzywdy i rosnącej nienawiści. I zawsze, kiedy słyszałem dzwony kościelne, wzywające ludzi na nabożeństwo, podnosiłem pięści do góry, widziałem ojca, który szarpał sznur w dzwonnicy, widziałem fury chłopskie pełne razowego chleba, który potem robotnicy rozdzielali między siebie.

Ale może to i dobrze, że młodzi nie nawracają do tych czasów i oczy mają otwarte na przyszłość. Oni porównują swoje marzenia z teraźniejszością i z tych porównań może nieraz wychodzą krzywdzące sądy o czasie teraźniejszym, zresztą może nie tyle krzywdzące ile surowe. Zgoda, nie można mechanicznie zestawiać różnych czasów. To by tak wyglądało, jakbyśmy chcieli powiedzieć, jak to było źle na świecie, kiedy pociągi ze Skierniewic do Piotrkowa przejeżdżały przez Rokiciny trzy razy w tygodniu — w niedzielę, wtorki i czwartki, odjeżdżały zaś w poniedziałki, środy i piątki, a jak jest teraz dobrze, kiedy na tej linii przemykają co pół godziny szybkie pociągi elektryczne. Ale trzeba przecież powiedzieć, że w tej przysłowiowej zapalce, którą dla oszczędności dzielono na cztery części, mieści się tamta prawda. Czytałem ostatnio w gazecie, że młodzi to drożdże nowego, to zaczyn, dzięki któremu wszystko zmienia się na lepsze. Być może, że tak jest. Na pewno tkwi w tym jakaś prawda. Ostatecznie i my kiedyś byliśmy tak zwanym młodym pokoleniem, nasze wypowiedzi drukowano i myśmy marzyli o innym świecie. Zgoda redaktorze, dla nas to była przede wszystkim kwestia chleba, zapewnienie prostego bytowania i wedle tych potrzeb oceniališmy rzeczywistość. A oni, którzy są dzisiaj młodzi i ostatecznie chleb mają zapewniony, myślą o studiach, o awansach, o motorach. Mój ojciec powiadał, żeby chociaż żyć pod tą strzechą, ale nie troszczyć się czy na przednówku starczy chleba. Redaktorze, ja pamiętam, jak po raz pierwszy przyjechałem z ojcem do Łodzi i jak przechodziliśmy obok cukierni, jakie zapachy stamtąd wychodziły. Otwierałem usta szeroko, jak letnicy otwierają w lesie, chciałem połykać to powietrze przesycone zapachem ciasta. Ojciec ściskał mnie za rękę, ciągnął za sobą, czoło miał zmarszczone, myślałem że złości się na mnie, a teraz wiem, że to było cierpienie. A dzisiaj młode córki Najdera uczą się w mieście, rodzeństwo Stanisława Cupera uczy się, syn Glonka uczy się, drugi wyrywa się do miasta, wieś zmienia się na oczach, niby ta sama droga, niby te same domy, a wszystko jest inne, no z pewnością, że warunki są inne, więc i życiorysy młodych inaczej się układają i inne są dążenia i cele życiowe dzisiejszej młodzieży. Nawet zawody mamy nie takie jak przed wojną. Ale muszę powiedzieć, że te drożdże, które dziś fermentują, fermentują także dzięki nam, dzięki dzwonom tomaszowskim, które wzywały chłopów do miasta.

TADEUSZ PAPIER

(Cytaty w ramkach z wypowiedzi tow. Stanisława Dobrodzieja, sekretarza KW PZPR „Specjaliści pilnie poszukiwani")

„W obecnym 17-leciu powinno zasilić kadrę rolną województwa ponad 5 tys. inżynierów rolników, geodetów, mechanizatorów, melioratorów, ogrodników, lekarzy weterynarii, ekonomistów i innych".

*

„Rozważając współczesne kierunki rozwoju rolnictwa zakładamy zmianę jego struktury społecznej na wielkotowarowe socjalistyczne gospodarstwa, które określą stopień jego intensyfikacji techniczno-produkcyjnej, kultury rolnej i potrzeby kadrowe".

ŁODZIANIE 1963

EWA SULIBORSKA

Bohdana MAJDA

„Aktorstwo to chyba jeden z najtrudniejszych zawodów. — mówi Bohdana Majda. To, co aktorstwo proponuje, czym kusi jest nieskończenie wieksze od tego co w jakimś ostatecznym rachunku może dać. Nie ma chyba zawodu równie efektownego, dającego tak wiele naraz możliwości istnienia, tyle spełniającego pragnień, ale jednocześnie tak wyczerpującego, tak wypalającego". Bohdana Majda, uczennica Gimnazjum im. Królowej Jadwigi, znanego w Warszawie zakładu naukowego dla dziewcząt, absolwentka Szkoły Aktorskiej pod rektoratem L. Schillera, współtwórczyni Teatru Nowego debiutowała na scenie tego teatru w historycznym już dziś przedstawieniu „Brygadzie szlifierza Kurhana" prezentując wraz z późniejszym dyrektorem i reżyserem Kazimierzem Dejmkiem perypetie miłosne kochającej się robotniczej pary.

„Ogromnie trudno — mówi — pogodzić się z faktem, że to, co dla mnie jest wciąż żywym doświadczeniem, co w pamięci istnieje teraz, a nie w czasie przeszłym, jest już historia, da się przełożyć w obiektywizujące formuły, ocenić. Wojna, konspiracja, pierwsze lata istnienia naszego teatru, wszystko to istnieje jakoś we mnie i kiedy mój dziewięcioletni syn pyta o te warszawskie lata okupacji wszystko co mu na ten temat mówię brzmi fałszywie, bo było jakoś inaczej. Ale jak było? Na to odpowiedzieć nie umiem. Opowiadanie zmienia obraz rzeczy, nadaje faktom inne znaczenie, dlatego niechętnie mówię o przeszłości".

„Do aktorstwa doprowadziło mnie zainteresowanie literatura, zwłaszcza poezją, w czasie gdy dorastałam w okresie okupacji była to ochrona i ucieczka przed światem, to brzmi teraz śmiesznie, ale jakim ukojeniem było wówczas tłumaczenie Horacego. Wynikiem moich zainteresowań przyrodniczych były studia medyczne, które rozpoczęłam by potem je dla aktorstwa porzucić. Prawdopodobnie miałam aktorstwo we krwi, aktorstwo to coś, co się podobno dziedziczy. Mój dziad był aktorem, nazywał się Józef Mottl, takim niezbyt znanym czeskim aktorem z wędrującej trupy, to były jeszcze czasy teatru, jaki opisuje Rzecacz w „Krawędzi".

Zwykle mówi się o tym, że aktorzy to ludzie pozbawieni własnej osobowości, że przybierają osobowość postaci które grają. I że ten brak własnej, osobowości jest warunkiem istnienia, warunkiem egzystowania w teatrze. Nie wiem czy pogląd ten jest słuszny. Są bowiem i tacy aktorzy, którzy poprzez każdą rolę prezentują siebie i własną osobowość. Myślę, że wśród aktorów są tacy, którzy traktują ten zawód jak profesję i tacy, dla których teatr stanowi w życiu sprawę najistotniejszą powiedziałabym intymną. Ale nie chcę powiedzieć, że ci są akurat posłannikami sztuki. Nie używajmy słów zbyt podniosłych. Aktorowi, i to jest chyba jedna z najpiękniejszych możliwości tego zawodu dana jest szansa tworzenia, czy współuczestniczenia w powstawaniu sztuki. Dzięki nam przekazana zostaje wizja pisarza. Aktor ją tworzy i samym soba bogaci. Jest w tym procesie coś z cudowności współtworzenia. Bowiem aktor nie tylko przekazuje to co dał mu pisarz, przekazuje także i coś z tego czym sam jest, co przeżył i co przemyślał. Aktorstwo to oczywiście w pierwszym rzędzie rzemiosło. Rzemiosło i świadomość, pozwala na wybór środków, którymi aktor buduje rolę. Ale prawdziwe aktorstwo to coś więcej niż bezbłędnie opanowany warsztat. Co to jest? Nie da się tego określić słowami z należytą precyzją. Rzemiosło pozwala opanować technicznie role, pozwala grać to co nie jest aktorowi bliskie. Bywają role, które są tylko popisem technicznym, żonglerka świetnie opanowanych chwytów, ale są i takie, które wymagają od aktora „natchnienia". Każdy aktor ma role, które dają mu popularność i poklask widowni, ale nie zawsze są one istotnymi dokonaniami. Istotnym dokonaniem są bowiem tylko te role, które przed aktorem stawiają skomplikowane warsztatowe i psychologiczne zadania. Dzięki nim aktor bogaci swój warsztat i bogaci siebie wewnętrznie. O takich rolach się pamięta. Dlatego jestem przywiązana do roli Katieriny z „Burzy" Ostrowskiego i roli Szewcowej ze sztuki Lorki, (grałam ją gościnnie w Jeleniej Górze). Ale na przykład rolę Marianny w „Kramie z piosenkami", mimo, że przyniosła mi uznanie, sama cenie o wiele mniej.

Jestem aktorką wykorzystywaną w komediach i jak każda aktorka wykorzystywana w rolach określonego zawsze tego samego typu nie cenię zbyt wysoko tych ról, może dlatego że przychodzą one zbyt łatwo. Tragifarsa, groteska, sztuki które posiadają elementy komedii i tragedii równocześnie nie pociągają mnie najbardziej. Może dlatego, że tak widze świat.

Jak buduje role? Trudno na takie pytanie odpowiedzieć. Szukam do roli „klucza", czegoś co nadawałoby wybranym środkom sens, czegoś co by je porządkowało. Pomaga mi w tym wiedza o ludziach, znajomość psychologii, gestów i reakcji, zawsze pilnie obserwuje ludzi, przyswajam sobie ich zachowanie, ale czasem cała te wiedzę zastępuje intuicja, ona pomaga w rozwikłaniu problemów, do niej ostatecznie każdy aktor sie ucieka.

Oczywiście mam treme, dlatego źle wypadam na wszystkich egzaminach; premierach, galówkach, prasówkach. Bardzo tych przedstawień nie lubie. Każdy aktor ma zresztą swoje dobre i złe dni. Czasem rozpoczynam grać zmęczona i jest coś takiego, jakiś powiew z widowni i nagle wiem, że „złapałam oddech". Aktor zależy także od ciała, a to nie zawsze mu jest posłuszne".

„Aktorstwo wymaga ogromnej pracy. Podobno Moissi pracował po osiem godzin dziennie. Jak przygotowuję się do przedstawienia? Przede wszystkim staram się wyłączyć ze spraw „cywilnego życia". Na ogół przepowiadam sobie tekst, próbuje pewne sytuacje. Słowem robię wszystko to, co robi zwykle każdy aktor".

„Scena ma ten urok trudny do opowiedzenia, ma jakiś specjalny zapach, barwe... Każdego dnia rozpoczynam wszystko na nowo. Jesteśmy figurami w jakimś ciągu, w jakimś wielkim procesie, nic z nas, żaden nasz gest nie może być zachowany, choć przecież oznacza to co było przedtem w teatrze i zapowiada to, co w nim bedzie".

„W aktorstwie interesowało mnie zawsze to, co można powiedzieć o sobie. Zafascynowana jestem sztukami Becketta. Są one jakaś wielką syntezą naszego losu. Jest w nich ta wiedza, która posiadamy o świecie, są sprawy, które znamy z własnych doświadczeń, ale jest i coś ponadto. Nie sądze, by była to sztuka pesymistyczna. Fascynuje mnie w nich obecność wielkiej tragedii, obok farsy. Wszystko jest w nich bardzo smutne i bardzo śmieszne zarazem".

MARIA KORNATOWSKA

„MAM TU SWÓJ DOM"

Wszyscy chwalą i podziwiają Juliana Dziedzinę, twórcę filmu „Mam tu swój dom" już za samą odwagę podjęcia odłogiem od lat leżącej problematyki wiejskiej. Nie ta jednak odwaga i nie temat, lecz bliska doświadczeniom sławnej szkoły polskiego dokumentu — postawa wobec rzeczywistości i sposób jej ujmowania, decyduje o wartości filmu. Już wybór problemów, krąg spraw interesujących Dziedzinę wskazuje na podobieństwo inspiracji. Wystarczy przypomnieć takie filmy jak „Ziemia woła" Stando czy „Źródło" Jaworskiego. Pierwszy to w naszej kinematografii wypadek znalezienia przez film fabularny wspólnych terenów penetracji z filmem dokumentalnym. Świadczy to najlepiej o autentyczności i żywotności spraw poruszonych w filmie „Mam tu swój dom". Jego twórcy zupełnie świadomie i konsekwentnie starają się zachować postawę dokumentalistów odsłaniając, analizując, notując różne aspekty życia wiejskiego bez uciekania się do łatwych formuł i gotowych rozwiązań. Temu celowi podporządkowana została luźna, otwarta, wielowątkowa struktura dramaturgiczna i operująca głównie epizodem narracja. Autorzy filmu starają się nie formować, nie inscenizować wydarzeń, lecz obserwować je wnikliwie, podpatrywać i rejestrować na taśmie. Stąd świeżość i pełnokrwisty autentyzm wielu scen, takich chociażby jak świetnie uchwycona sekwencja zabawy wiejskiej, sądu „polnego" itd.

W podobnym tonie utrzymane są zwłaszcza dzięki dużej naturalności dialogów, sceny „prywatne". Ładnie rozegrany został zabawny pastisz „balkonowej" sceny rodzimego Romea i Julii, gdzie dramatyczne napięcie zręcznie rozładowano tzw. „życiową" pointą. Cały film zresztą nacechowany jest pewną jakby przekorą reżysera która to przekora każe mu rozbijać klasyczne niejako schematy intrygi i spięć dramatycznych. Już, już czekamy, że „coś" się stanie i... wszystko, tak jak to na ogół w życiu bywa, rozłazi się po kościach.

Reżyser-dokumentalista, poszukiwacz prawdy, bierze więc znów górę nad inscenizatorem. Prawdziwa „dramatyczność" tkwi bowiem głębiej, w samej materii wiejskiej rzeczywistości. I to właśnie nieustannie stara się podkreślać w swym filmie Dziedzina, traktując rzeczywistość jako jedyną „płaszczyznę odniesienia". Cenną wartością filmu „Mam tu swój dom" jest również próba niekonwencjonalnego, nieschematycznego rysunku psychiki współczesnego chłopa. Reżyser i w tym wypadku uciekł się do metody pokrewnej filmowi dokumentalnemu, wprowadzając np. świetnie dobraną galerię typów i „naturszczyków" (twarze w autobusie, w gospodzie, na zabawie). Nawet w stosunku do aktorów zawodowych Dziedzina posługuje się Karabaszowską metodą podpatrywania i wyławiania gestów, odruchów, mimiki twarzy, gry spojrzeń, notowania całej „wyglądowości" postaci w kontekście otoczenia, zapominając chwilami o istotnej różnicy dzielącej aktora, nawet najbardziej głęboko przeżywającego swą rolę od autentycznego bohatera dokumentu. Dlatego niektóre momenty nadmiernego „wygrywania" aktorów grzeszą dłużyznami. Miejscami jednak, zwłaszcza w scenach z ojcem Kuby (kupowanie garnituru, hołubienie go) to osiąga dobre rezultaty, nadając filmowi ową szorstko chropawo-liryczną fakturę tak charakterystyczną dla filmów Karabasza. Duża to również zasługa aktorów, a szczególnie znakomitej Zofii Rysiówny i Janusza Strachockiego.

Interesująco, bo niebanalnie wypadła postać Kuby — niecałkiem pozytywnego „bohatera pozytywnego". Natomiast zupełnie nie „siedzi" w konwencji filmu i scenariuszowo i aktorsko Kasia.

Brutalnie, drapieżnie potraktowany został dramat rodzinny Fornalczyków. Jeśli nawet melodramatycznie, to jest to melodramat w nie najgorszym stylu, powiedziałabym melodramat a la Visconti.

W sumie otrzymaliśmy pierwszy od dłuższego już czasu polski film, nie żmudnie i pracowicie wykoncypowany, lecz zrodzony z dokumentalnej metody penetrowania autentycznej rzeczywistości. Coś w rodzaju rodzimej wersji „cinema-verite". Film zapewne niedoskonały, ale żywy i krwisty. Polemiczny w swej wymowie właśnie dlatego, że prawdziwy. Nareszcie zobaczyliśmy na ekranie kawałek Polski w jakiej żyjemy, realny świat ze swoimi realnymi, może nawet „prozaicznymi", lecz przecież pełnymi życia i pasji konfliktami.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„ICH DZIEŃ POWSZEDNI"

Czytając scenariusz filmu „Ich dzień powszedni" drukowany w roku ubiegłym w „Dialogu" można mieć było pewne obawy, co do jego realizacji filmowej, tym bardziej, że zabrał się do tego sam autor, z zawodu pisarz. I oto tym razem reżyser Aleksander Scibor-Rylski nadał, jak się okazało na pozór bardzo mało atrakcyjnemu scenariuszowi, całą gamę interesujących odcieni i podtekstów. Przede wszystkim prosta, a nawet banalna historyjka w swym charakterze bliska melodramatowi stała się bardzo ciekawa dzięki świetnie zbudowanym sytuacjom i ich rozwiązaniom.

Postacie „Dnia powszedniego" są pełnowymiarowe, nie poprzez to co mówią w dialogach, ale przez swoje gesty, ruchy, grymasy twarzy. Autor filmu nie chce definiować i określać swych bohaterów, nie chce dawać im charakterystyk, które każdy widz łatwo sobie sam sprecyzuje. Scibor-Rylski daje swym bohaterom szansę „gry w romans" ośmieszając ich romansowe sytuacje, z których przy pomocy jednej krótkiej sceny potrafi ukazać bohaterów na zupełnie innej płaszczyźnie i w innym wymiarze. Tak jest w kapitalnej sekwencji drugiego spotkania dziewczyny i doktora w domu. Śmieszność i groteskowość postaci doktora tej sekwencji dochodzi do granic, kiedy niedźwiedziowaty, ospały i chyba niezbyt biegły w sposobach uprawiania zdrad małżeńskich doktór robi z siebie śmiesznego i niezdarnego Don Juana. Reżyser kończy tę sekwencję czymś, co zaskakuje świeżością i ciepłym, ludzkim optymizmem, na jaki zdobywa się dziewczyna.

W swoim pierwszym, samodzielnym filmie Scibor-Rylski — pisarz — jest oszczędny w słowach. Nie każe bohaterom wygłaszać deklaracji o stanie swoich uczuć, co jest zmorą podstawową większości melodramatów i co było także wielokrotnie wadą filmów realizowanych według scenariuszy... Sciborа-Rylskiego. Tym razem debiutujący reżyser nie uległ pisarzowi i dał w swym filmie dialogi zwięzłe, filmowe, użyte tam tylko, gdzie rzeczywiście wymaga tego sytuacja filmowa. Narracja „Ich dnia powszedniego" prowadzona jest sprawnie, potoczyście bez oczekiwania na sytuację, na dowcip i pointę. Widz po prostu nie nudzi się oglądając w tym komedio-dramacie bądź co bądź wcale nie odkrywcze losy trojga bohaterów, w których postaciach niewątpliwie odnajdzie wiele schematów z innych filmów, a może również cechy czy rysy z siebie samego. Cechy, które Scibor-Rylski potrafi ukazać nie tylko z ironią, ze złośliwością, ale nawet z humorem.

Aktorstwo jest chyba w tym filmie nierozdzielnie związane ze sprawną reżyserią. Odtwórcy głównych ról nie tylko, że nie pudłują w interpretacji powierzonych im ról, ale zaskakują stworzonymi kreacjami aktorskimi. Największym zaskoczeniem in plus jest Zbigniew Cybulski. Na gruncie rodzimej twórczości filmowej jest to niewątpliwie w dużym stopniu poważna kreacja tego aktora i jego rehabilitacja artystyczna, zmiana opinii, na której ciążyła dłuższy czas wspaniała rola z „Popiołu i diamentu" Interesująca jest w roli żony Aleksandra Śląska, której z powodzeniem „wchodzi w drogę", oczywiście w filmie, Pola Raksa jako Grażyna. Można by tej roli i jej interpretacji zarzucić pewne braki, szczególnie w początkowych partiach filmu, gdzie jest zbyt płaska, jednostronna w swej dosłowności, znudzonej i pozującej dziewczyny. Kapitalnie zagrali swe większe epizody Barbara Krafftówna i Franciszek Pieczka w rolach lekarki i jej adoratora.

Dawn Addams — bohaterka filmu „1000 oczu dr Mabuse"

TERESA GAJDEROWICZ

„1000 oczu dr Mabuse"

Wyświetlany obecnie na naszych ekranach film znanego niemieckiego reżysera, Fritza Langa, pt. „Tysiąc oczu doktora Mabuse" jest trzecim z kolei, gdzie bohater a jednocześnie postać tytułowa stanowi uosobienie zła i przestępczości.

Po raz pierwszy doktor Mabuse ożył na ekranie w roku 1922, jeszcze w okresie filmu niemego, jawi się powtórnie w 1933 roku w „Testamencie doktora Mabuse", aby po trzydziestu sześciu latach przypomnieć o grożącym współczesnemu światu niebezpieczeństwie. Cechą charakterystyczną każdej z części osobliwej trylogii jest fakt powiązania niesamowitej sylwetki bohatera z aktualną sytuacją polityczną, w jakiej dane było tworzyć Langowi swoje filmy. Nadawało to utworom głębszy sens, uogólniający zjawiska zachodzące w owych okresach historycznych.

Pierwsze wcielenie doktora Mabuse uosabiało chaos republiki weimarskiej i stanowiło zapowiedź mającej się narodzić tyranii. W „Testamencie" Lang przewidział zbliżający się kres dyktatury faszystowskiej, która stała się faktem po dojściu Hitlera do władzy. Za każdym razem bohater Langa stawał się nie tylko symbolem zła w ogóle, lecz znajdował odpowiednik w aktualnej sytuacji politycznej.

Wszystko wskazuje na to, iż ostatni z tej serii film Langa cechują podobne tendencje.

Niesamowita postać doktora Mabuse i jego poczynania dają reżyserowi sposobność nie tylko do wiązania skomplikowanej sieci intryg i zbrodni, do wikłania losów bohaterów, do piętrzenia wypadków w potężną piramidę niesamowitości, by w tak misterny sposób skonstruowany dramat kryminalny uwieńczyć rozczulającym happy end'em. Jak poprzednie swoje filmy tak i ten — Lang „wpisał" we współczesność bohatera wyposażył w odpowiednie akcesoria ery atomowej oraz obdarzył go ambicjami na miarę tejże. Wypadki, które widz śledzi na ekranie, powstałe w wyobraźni scenarzystów i reżysera, na pozór odległe od rzeczywistości przez nagromadzenie niesamowitości i spięć cechujących czystej wody kryminały, są w rezultacie wyrazem niepokojów, nurtujących współczesne społeczeństwa.

Doktor Mabuse, mający do dyspozycji wszystkie niemalże zdobycze nowoczesnej techniki, używa ich w celu zawładnięcia totalną bronią naszej ery — bronią atomową, która oddałaby mu we władanie cały glob. Opanowany jedną myślą zdobywa się na maksimum rozsądku i przebiegłości, chytrości i szaleństwa jednocześnie. Cała jego psychika — zdaje się skoncentrowana na jednym — wyklucza możliwość oddziaływania nań innych bodźców i hamulców aniżeli te, które mają związek z jego dążeniami. Podobne skupienie uwagi na przedmiocie swoich pragnień prowadzi do stanu patologicznego, do braku wrażliwości i do ograniczenia możliwości normalnych reakcji systemu nerwowego. Człowiek popadający w podobny stan jest szaleńcem zdolnym do wszystkiego, nawet do samounicestwienia, o ile to uniemożliwi kontrakcję przeciwnika.

Szaleńcem takim jest doktor Mabuse, który w podziemiach hotelu Luxor, w momencie, gdy ziemia zaczyna mu się palić pod nogami, grozi „naciśnięciem odpowiedniego guzika". Jest to niewątpliwie znamienny punkt w filmie Langa, mający nie tylko swoistą wymowę, lecz stanowiący groźne ostrzeżenie dla wszystkich.

Niewątpliwie, nie jesteśmy po raz pierwszy przy tym problemie z okazji filmu Langa. Nie on pierwszy i nie ostatni będzie rzucał apel o zaprzestanie pogróżek, jakimi szermuje jego bohater. Niezmiernie istotną okazuje się bowiem nie tylko treść, ale i forma szlachetnego apelu. Artyści mają tę przewagę, że ich inwencja twórcza obejmuje zarówno jedno jak i drugie.

Dotyczy to filmu Langa, którego treść znajduje właściwą oprawę w formie świadczącej o mistrzostwie realizatora. Szybkie tempo, charakteryzujące z reguły fabuły sensacyjne, wielowątkowość akcji, nagromadzenie spięć dramaturgicznych i ich rozwikłanie — decydują o atrakcyjności omawianego filmu. Wszystko zdaje się być podporządkowane akcji, prowadzonej w krótkich ujęciach, w zwartych sekwencjach, stanowiących poszczególne epizody. Akcji podporządkowani są również aktorzy, a raczej koncepcje charakterologiczne kreowanych przez nich postaci. Sylwetki kreślone mocnymi, charakterystycznymi konturami, nie wyłączając postaci doktora Mabuse, stanowią wystarczający materiał do właściwego ukształtowania tkanki filmu Langa.

Poszczególne elementy każdej z warstw filmu są podporządkowane koncepcji twórczej reżysera: nie ma tu miejsca na efektowne popisy operatora, o ile nie zachodzi tego potrzeba, z tego powodu również nie znajdziemy gwiazdorstwa, jeśli nie będziemy uznawać za takie wyrównanej gry całego zespołu aktorskiego, w którym znaleźć można nazwiska Dawn Addams, Peter van Eycka, Gerta Fröbe, Andrea Checchiego i innych.

Dzięki owym momentom film Langa reprezentuje utwór zwarty, precyzyjny w swej formie, wyposażony we wszelkie atuty dobrego dramatu kryminalnego, nie pozbawiony jednocześnie głębszego sensu i uogólnień mających odniesienie do istotnych problemów naszej rzeczywistości.

Dalszy ciąg ze str. 1

Trzeba dodać, że tempo rozwoju ludności naszego kraju — mimo osłabienia, jakie ostatnio notujemy — jest wciąż jeszcze znaczne. Statystycy Organizacji Narodów Zjednoczonych wykonali szacunek wzrostu ludności świata, kontynentów i poszczególnych krajów do roku 1975. Według tego szacunku ludność Polski ma się powiększyć w okresie 1960—1975 o 17 proc. Według prognozy Komisji Planowania przy Radzie Ministrów wzrost ludności Polski ma wynieść w tym samym czasie 18,9 proc. Ten rachunek stawia nasz kraj na trzecim miejscu w skali europejskiej pod względem przewidywanego tempa wzrostu ludności (po ZSRR i Albanii).

„Bolszomu korabliu bolszoje pławanje" — mówi przysłowie rosyjskie. Jest to niewątpliwie słuszne. Z drugiej strony jednak trzeba sobie zdawać sprawę z faktu, że duży wzrost ludności jest równoznaczny z dużymi obciążeniami dla społeczeństwa, dodajmy, dla społeczeństwa obarczonego kosztami odbudowy kraju ze zgliszcz wojennych i kosztami związanymi z konieczną rozbudową i unowocześnieniem gospodarki narodowej.

Do końca okresu perspektywicznego pozostało w tej chwili niecałe 17 lat. W ciągu tego, niezbyt długiego okresu ludność Polski powiększy się o 7 mln osób. Przybędzie nam 7 mln osób, które trzeba będzie wyżywić i którym trzeba będzie dać zatrudnienie. Dla 7 milionów osób trzeba będzie zbudować mieszkania, zakłady żywienia zbiorowego, urządzenia sanitarne, teatry, kina, biblioteki itd. itd.

Okres najbliższych 17 lat rysuje się więc jako okres poważnych zadań, którym będziemy musieli sprostać. Nie mówię o zadaniach wynikających z postępu technicznego, z postępu nauki, z postępu w wielu innych dziedzinach. Mówię jedynie i wyłącznie o zadaniach wynikających ze wzrostu ludności.

Sądzę, że sam fakt wczesnego rozpoznania tych zadań posiada duże znaczenie dla ich pomyślnej realizacji. Na tym zresztą polega diagnostyczna rola badań demograficznych.

Jaka będzie struktura ludności w Polsce?

Wzajemna relacja płci kształtuje się w społeczeństwie pod działaniem różnych czynników. Jedne z nich działają na rzecz przewagi liczebnej mężczyzn, inne — przeciwnie, na rzecz przewagi liczebnej kobiet.

Chłopcy i dziewczęta przychodzą na świat w nierównej liczbie: rodzi się więcej chłopców. To nam tłumaczy przewagę liczebną płci męskiej w młodszych grupach wieku.

Jeśli chodzi o umieralność, to od kołyski aż do późnej starości wybiera ona więcej ofiar spośród mężczyzn, aniżeli kobiet. Ten czynnik działa zatem w kierunku przewagi liczebnej kobiet.

Nic jednak nie wpływa na wzajemną relację płci w takim stopniu, jak kataklizmy wojenne. Socjolog francuski Gaston Bouthoul słusznie zauważa, że choć nieskończenie różne są aspekty historyczne wojen i sam ich przebieg, to jednak pewną rzeczą jest im wspólną. Wspólny jest fakt gwałtownego mnożenia się liczby zgonów, przy czym ofiarą padają przede wszystkim i głównie młodzi mężczyźni.

Giną oni masowo. Cytowany autor francuski określa te fakty jako „stała funkcję socjologiczną wojny".

Polska wyszła z pożogi wojennej z mocno zwichniętą równowagą płci. W roku 1946 przypadało w naszym kraju na 100 mężczyzn 118 kobiet. Za tymi liczbami kryje się ogromny niedobór mężczyzn: liczba kobiet przewyższała liczbę mężczyzn o 2 miliony. Wojna skazała taką liczbę kobiet na samotne przejście przez życie.

W chwili zakończenia wojny mieliśmy przynajmniej 15 roczników dziecięcych, w których struktura płci wolna była od destrukcyjnego wpływu wojny. Odtąd każdy rok pomnaża liczbę roczników o normalnej strukturze płci. Jest takich roczników dziś już co najmniej 32. U schyłku okresu perspektywicznego będzie ich 50. Tak oto w miarę oddalania się od przebytego kataklizmu wojennego struktura ludności ulega stopniowej normalizacji. Zniekształcenia zrodzone przez wojnę przesuwają się do górnych pięter piramidy wieku i tym samym tracą stopniowo na znaczeniu. W tej chwili deformacje w strukturze płci ludności Polski są jeszcze dosyć duże: na 100 mężczyzn przypada 107 kobiet. Mamy wciąż jeszcze o milion kobiet więcej niż mężczyzn. W roku 1980 przewaga ta zmniejszy się do pół miliona.

Bliższa analiza danych perspektywicznych odsłania pewną bardzo istotną rzecz. Mamy na myśli zjawisko narastającej przewagi mężczyzn w dolnych partiach piramidy wieku. Rodzi się, jak o tym już wspomniałem, więcej chłopców niż dziewcząt. Jeśli płynąca stąd przewaga liczebna mężczyzn ograniczała się dawniej do pierwszych piętnastu czy dwudziestu lat życia, to przyczyną tego była wysoka umieralność dzieci i młodzieży, która zabierała nierównie więcej chłopców niż dziewcząt. Skuteczna walka z umieralnością dzieci i młodzieży pociąga za sobą przesunięcie wieku, w którym następuje zrównanie liczebne obu płci. W roku 1960 owo zrównanie następowało w Polsce pomiędzy 25 a 30 rokiem życia. W roku 1965 przesunie się do grupy wieku 30—35 lat. Na tym samym poziomie pozostanie w latach 1970 i 1975. Natomiast w roku 1980 przesunie się do grupy wieku 35—40 lat. A więc mniej więcej do 40 roku życia przeważać będą liczebnie mężczyźni i dopiero po 40-tym roku życia kobiety będą w większości. Nie kobiety będą w przyszłości zagrożone samotnością. Los taki będzie raczej udziałem mężczyzn. Zmieniona relacja płci nie pozostanie zapewne bez poważniejszych konsekwencji natury społecznej.

Dzieci, dorośli i ludzie starzy.

W praktyce międzynarodowej zdobyła sobie prawo obywatelstwa klasyfikacja, wyodrębniająca trzy wielkie grupy wieku, mianowicie 0—14 lat, 15—64 lat, 65 lat i więcej. Pierwsza z wymienionych grup obejmuje dzieci, druga — ludność dorosłą, trzecia — ludzi starych. Można spojrzeć na te same grupy pod kątem ekonomicznym i powiedzieć, że pierwsza skupia elementy jeszcze nieprodukcyjne, druga — ludność produkcyjną, trzecia — elementy już nieprodukcyjne. Mówimy więc o grupach wieku przedprodukcyjnego, produkcyjnego i poprodukcyjnego.

W świetle prognozy Komisji Planowania przy Radzie Ministrów liczebność dzieci w wieku od 0 do 14 lat kształtować się będzie na przestrzeni najbliższych kilkunastu lat jak następuje:

1960	9 994 000
1965	9 807 000
1970	9 340 000
1975	9 240 000
1980	9 877 000

W roku 1960 mieliśmy w Polsce 10 mln dzieci w wieku poniżej 15 lat. Gdyby się utrzymała u nas wysoka płodność z roku 1954, szeregi dzieci rosłyby w zawrotnym tempie. Prognoza demograficzna w swej pierwotnej, wysoce optymistycznej wersji przewidywała na 1975 rok 11,8 mln dzieci. Po pierwszym załamaniu się krzywej urodzeń, autorzy prognoz demograficznych zredukowali przewidywaną na rok 1975 liczbę dzieci do 10,2 mln. Rozpatrywana

przez nas prognoza demograficzna przewiduje, że w roku 1975 liczba dzieci wynosić będzie 9 240 000. (Nie tylko więc, że się już nie mówi o wzroście, ale przewiduje się dosyć znaczny spadek liczebności dzieci). Dopiero w roku 1980 powróci wysoka, choć wciąż jeszcze niższa od stanu z roku 1960, liczba dzieci. Wynika stąd, że w czekającym nas, blisko 7-milionowym wzroście ludności warstwa dzieci nie będzie partycypowała w najmniejszym nawet stopniu. Cały ten wzrost będzie udziałem starszych grup wieku, to znaczy ludności dorosłej i starców.

Przejdźmy do następnej grupy wieku.

Przewiduje się następujący rozwój liczby osób w wieku lat 15—64:

1960	18 015 000
1965	19 612 000
1970	21 447 000
1975	23 019 000
1980	24 128 000

Czekający nas 6-milionowy wzrost liczby osób w wieku produkcyjnym i z tym związany wzrost zadań produkcyjnych we wszystkich działach gospodarki narodowej stawia przed nami w całej ostrości sprawę rozwoju szkolnictwa i odpowiedniego przygotowania kadr naukowych i zawodowych. Jeżeli mamy sprostać stojącym przed naszą gospodarką zadaniom, musimy już nie pomnożyć, ale zwielokrotnić szeregi ludzi z wyższym i średnim wykształceniem. Chciałbym się przyłączyć do słusznej uwagi wypowiedzianej na konferencji w Jabłonnie przez prof. Pawła Nowackiego, że „pewne wnioski dotyczące przyszłej struktury społeczeństwa i wyszkolenia kadr są już dziś obowiązujące. Należy dziś już przewidzieć zupełnie inną strukturę społeczeństwa za lat dwadzieścia i położyć zupełnie inny i to radykalny aspekt na zagadnienia szkolne i wychowanie młodego pokolenia".

Przechodzę do grupy ludzi starych. W świetle prognozy Komisji Planowania przy Radzie Ministrów liczebność osób w wieku lat 65 i więcej ma się kształtować jak następuje:

1960	1 740 000
1965	2 148 000
1970	2 625 000
1975	3 113 000
1980	3 346 000

Mamy tu do czynienia z zawrotnie szybkim wzrostem. W bieżącym pięcioleciu, pomiędzy rokiem 1960 a 1965, przybędzie nam ponad 400 tys. osób w wieku lat 65 i więcej.

Jeszcze większy wzrost przyniosą dwa następne pięciolecia: w latach 1966—1970 liczba starców — o nich przecież teraz mówimy — wzrośnie o 477 tys. i w latach 1971—1975 o 488 tys.

Osłabnie wzrost liczby ludzi starych w ostatnim pięcioleciu okresu perspektywicznego (1976—1980), ale i wówczas wyniesie 233 tys. osób. W ten sposób liczba osób w wieku lat 65 i więcej wzrośnie w 20-letnim okresie perspektywicznym (1961—1980) o 1 600 000.

Z porównania liczb pochodzących z początku i z końca okresu perspektywicznego wynika, że:

a) szeregi dzieci uszczuplą się o 1,2 proc.;
b) szeregi ludności dorosłej wzrosną o 33,9 proc.;
c) szeregi ludzi starych wzrosną o 92 proc.

Niejednakowe tempo wzrostu ludności w obrębie poszczególnych grup wieku prowadzi do zmian w strukturze ludności według wieku. Zyskują oczywiście na znaczeniu grupy wieku o silniejszej dynamice, tracą te, które nie dotrzymują kroku innym pod względem szybkości wzrostu. Przyjrzyjmy się pod tym kątem aktualnym i perspektywicznym danym polskim.

Dzieci w wieku poniżej 15 lat stanowiły w Polsce w 1960 roku jedną trzecią ogółu ludności (33,6 proc.). Od dziś za lat siedemnaście, w roku 1980, stanowić będą niewiele ponad jedną czwartą (26,4 proc.). Do niedawna Polska wyróżniała się ogromnym bogactwem dzieci: proporcję dzieci wyższą od polskiej posiadały jedynie Albania i Islandia. Liczby perspektywiczne stawiają Polskę w szeregu krajów o średniej proporcji dzieci. Dodajmy, że najniższe, dziś notowane proporcje dzieci są niewiele wyższe od 20 proc. Tak więc proporcja dzieci w wieku poniżej 15 lat wynosi w Austrii 21,6 proc., w NRF — 21,2 proc., w NRD — 20,6 proc. (dane z lat 1957—1958)

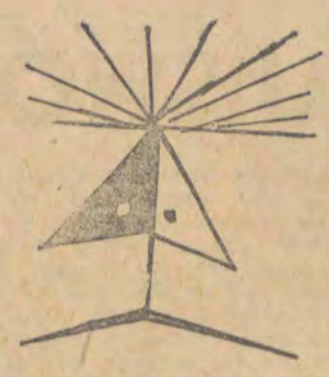

Proporcja ludności w wieku produkcyjnym (15—64 lat) wynosiła w 1960 r. 60,6 proc., a ku końcowi okresu perspektywicznego osiągnie 64,6 proc. Jest to ewolucja ekonomicznie korzystna, oznacza bowiem zmniejszenie się szeregów żywicieli a tym samym relatywne zmniejszenie się ciężarów związanych z utrzymaniem elementów nieprodukcyjnych.

Grupa wieku poprodukcyjnego zyska ogromnie na znaczeniu. Gdy w roku 1960 osoby w wieku lat 65 i więcej stanowiły w Polsce 5,8 proc. ogółu ludności, to w roku 1980 proporcja ich wzrośnie do 9 proc. Społeczeństwo polskie znajdzie się już niemal u progu starości demograficznej (jako próg starości przyjmujemy 10 proc. ludzi starych).

Nowoczesność i starość.

Przyda się wzmianka, że jeszcze do niedawna Polska była reprezentantem wyjątkowej — jak na stosunki europejskie — młodości demograficznej. Z ONZ-owskiego Rocznika Demograficznego za rok 1959 dowiadujemy się, że spośród wszystkich krajów europejskich, nie wyłączając Jugosławii, a nawet Albanii, Polska posiadała najniższą proporcję ludności w wieku lat 65 i więcej. Wynosiła ona w Jugosławii, w roku 1957 6,1 proc., tyleż w roku 1955 w Albanii, w Polsce zaś w roku 1957 nie więcej jak 5,6 proc.

Wzrost proporcji osób w starszym wieku nadaje strukturze wieku znamię nowoczesności. Niska proporcja starców jest wykładnikiem przestarzałej, w rozwiniętych krajach już nie spotykanej struktury ludności według wieku. Z tym się właśnie rozstajemy.

Pewien autor belgijski oświadczył przed kilku laty, że trzy wielkie problemy stana przed ludzkością w najbliższym czasie: jednym z nich jest przebudowa techniczna świata w wyniku zastosowania energii jądrowej, drugim — przebudowa ekonomiczna i społeczna w wyniku zwycięstwa komunizmu, trzecim — przebudowa demograficzna w następstwie procesu starzenia się ludności. Przesadny jest chyba pogląd przypisujący procesowi starzenia się ludności taką rangę i takie znaczenie, jakie dla przyszłego rozwoju ludzkości posiadać będą energia jądrowa i przewrót społeczny. Jeśli jednak porównania takie są czynione, jeśli się stawia proces starzenia się ludności w jednym szeregu ze zjawiskami zmieniającymi bieg historii, to chyba nie da się już mocniej podkreślić wagi tego procesu.

Nie ulega wątpliwości, że proces starzenia się ludności odegra w dalszych dziejach ludzkości poważną rolę. Powinniśmy być tego świadomi w chwili, kiedy kraj został z całą siłą wciągnięty w orbitę tego historycznego procesu.

Kraje demograficznie „stare" wcześniej już stanęły w obliczu konsekwencji procesu starzenia się ludności. W Anglii na przykład — jak o tym informuje prasa medyczna — przestawiono na nowe tory cała organizację służby zdrowia, co stało się koniecznością z uwagi na to, że pacjenci rekrutują się obecnie w przytłaczającej większości z ludzi w podeszłym wieku. Nowe i wielkie zadania stają przed dyscyplinami zajmującymi się starzeniem indywidualnym i starzeniem się społeczeństw, przed geriatrią i gerontologią. „Medycyna — mówił w Jabłonnie prof. Marcin Kacprzak — ma tu bardzo wiele do zrobienia. Kwestia przedłużenia życia ludzkiego o kilka czy kilkanaście lat jest przy obecnym stanie wiedzy możliwa, a nade wszystko możliwe jest podniesienie sprawności w starszym wieku, co powinno być głównym zadaniem nauki".

„Warto by przemyśleć — mówi prof. Henryk Jabłoński — jakie w przyszłości będą możliwości takiej lub innej pracy ludzi w wieku podeszłym. Warto wziąć te sprawy na warsztat poważnych badań naukowych".

Wskazania te są bardzo istotne. Wobec faktu, że ludność w wieku produkcyjnym starzeje się, wobec faktu, iż nasze fabryki, huty i kopalnie będą w coraz większym stopniu skazane na korzystanie z usług osób starszych wiekiem, trzeba się zająć problemem najwłaściwszego zużytkowania siły roboczej w starszym wieku. Coraz liczniejszemu odłamowi robotników w starszym wieku należy zapewnić warunki pracy najlepiej odpowiadające ich możliwościom i ich właściwościom. Byłoby marnotrawstwem produkcyjnym i społecznym, gdybyśmy nie zużytkowali tych wszystkich walorów, jakie reprezentują ludzie w starszym wieku, gdybyśmy przeszli do porządku nad ich jakże cennym doświadczeniem produkcyjnym i życiowym, nad ich przywiązaniem do miejsca pracy, nad ich obowiązkowością i przezornością. Walorami tymi ludzie w starszym wieku wyrównują i to nieraz z nawiązką swoje z wiekiem związane mankamenty.

Wreszcie — zagadnienie rencistów i emerytów. Jest to zagadnienie nad wyraz delikatne. Byłoby niewątpliwie błędem, gdybyśmy chcieli je rozpatrywać wyłącznie na płaszczyźnie rachunku ekonomicznego. Stosunek do ludzi starych, jest w moich oczach probierzem moralności społeczeństwa. Obojętny stosunek do ludzi starych, jest nie tylko wyrazem nie-

wdzięczności. Jest on również przejawem pewnego okrucieństwa. Nie potrafiłbym mówić o stosunkach demograficznych, pomijając ten odłam ludności, któremu społeczeństwo tyle zawdzięcza.

Wiek emerytalny jest obliczony dla każdej płci inaczej: dla mężczyzn przyjmujemy 65 rok życia jako próg wieku emerytalnego, dla kobiet — 60 rok życia.

Szeregi tak zdefiniowanej ludności w wieku emerytalnym liczą obecnie w Polsce 2,5 mln osób. Na 1 000 mieszkańców przypada u nas 80 osób w wieku emerytalnym. Niższy współczynnik posiada Albania, niemal identyczny Jugosławia (79 promille). W innych krajach, a zwłaszcza w krajach demograficznie „starych" współczynniki te są znacznie wyższe. W obu niemieckich republikach razem wziętych

Dalszy ciąg na str. 5

(Dokończenie ze str. 4)

proporcja osób w wieku emerytalnym przekracza 140.

Chociaż Polska posiada w tej chwili niewysoką proporcję osób w wieku emerytalnym, to jednak w przyszłości i to niedalekiej — sytuacja się zmieni. Już najbliższe lata przyniosą ze sobą ostro zarysowany problem emerytów i rencistów. Wiąże się to z nadchodzącym kolosalnym wzrostem liczby osób w wieku emerytalnym.

Posłuchajmy co mówią liczby. Szeregi ludności w wieku emerytalnym, które w roku 1960 liczyły 2,36 mln osób obojga płci, wzrosną w roku 1965 do 2,98 mln, w roku 1970 — do 3,44 mln, w roku 1975 — do 3,89 mln i w roku 1980 do 3,98 mln. W ten sposób na przestrzeni 20 lat przybędzie nam ponad półtora miliona osób w wieku emerytalnym. Na każdą dzisiejszą setkę osób w wieku emerytalnym będzie ich w 1980 roku 170. Coraz więcej i więcej osób kołatać będzie do kas państwowych o zaopatrzenie emerytalne.

Wzrost ten poważnie zaostrzy sytuację w dziedzinie rent i emerytur. Nie będzie można już powiedzieć, że Polska posiada stosunkowo nieliczną ludność w wieku emerytalnym. Perspektywiczne liczby polskie reprezentują poziom, który dziś na tle stosunków europejskich określamy jako wysoki.

Wkraczamy więc w okres poważnych przeobrażeń demograficznych, które siłą rzeczy rzutować będą na różne dziedziny życia społecznego i gospodarczego. Zadaniem nauki będzie w tych warunkach podjęcie szerszych badań nad dokonującymi się przemianami demograficznymi i ich konsekwencjami. Jeśli chodzi o władze państwowe, to ich z kolei zadaniem będzie wyciągnięcie praktycznych wniosków z tych wszystkich przeobrażeń, a jednocześnie podjęcie aktywnej polityki demograficznej zmierzającej do kształtowania procesów demograficznych zgodnie z interesami kraju i potrzebami budownictwa socjalizmu.

Sądzę, że do realizacji wspomnianych zadań mogłoby się walnie przyczynić utworzenie w ramach organizacyjnych Polskiej Akademii Nauk placówki zajmującej się badaniami demograficznymi. Widzę również potrzebę powołania do życia Państwowej Komisji Demograficznej (na wzór istniejącej w Czechosłowacji Statni Populacni Komise) jako rządowego organu polityki demograficznej.

EDWARD ROSSET

W dniu 17 maja br. na sesji Polskiej Akademii Nauk członek-korespondent Akademii i przewodniczący Komitetu Nauk Demograficznych PAN — prof. dr E. Rosset wygłosił referat na temat przeobrażeń demograficznych w Polsce. Zamieściliśmy wyżej fragmenty tego referatu.

Dokończenie ze str. 1

i zsiadłe mleczko jak i cereśnie bardzo lubią. Czasami tylko, gdy na placyku przed Instytutem specjalny natłok wycieczkowych autokarów, jakaś bronowicka babina przeżegna się ukradkiem, albo i splunie, i westchnie ze zgrozą: Jakby to wszystko huknęło i wybuchło panie — nie daj Bóg!"

Nie wybuchnie babciu, bo... nie ma co!

* * *

Do Bronowic nie przygnała mnie żyłka zawodowego łapacza sensacji. Chciałem jedynie poznać jednego z najświeższej daty Polaka. Obywatela Atoma.

Mieszka za ciężkimi drzwiami obrotowymi, dla większego bezpieczeństwa i pewności wypełnionymi dodatkowo wodą. Strzeże go ponadto aparatura sygnalizacyjno-alarmowa. W kieszeniach białych fartuchów ludzi, którzy codziennie stykają się z obywatelem „A" możesz dostrzec coś co z pozoru wygląda na zwyczajne ołówki. W rzeczywistości są to dozometry — taka „miarka", która ma pokazywać i alarmować czy przypadkiem obywatel „A" nie był zbyt agresywny wobec swojego przyjaciela — człowieka. Bo ta miłość może być bardzo niebezpieczna. Choroba popromienna, białaczka — zresztą, tysiąc i jeden okropieństw, wśród których ze spokojem mogą się jedynie poruszać lekarze. Więc nie dziwię się im, że tak starannie i pieczołowicie obchodzą się z owymi „ołówkami", że do drugiej kieszeni kładą jeszcze rolkę niewyświetlonego filmu: napromieniowanie zaczernia jego taśmę i ostrzega. Pochłonięcie w ciągu tygodnia większej dawki, aniżeli stu rentgenów może dla człowieka znaczyć śmierć.

* * *

— Czy pan chociaż wie co my tutaj robimy i nad czym pracujemy?

Prawdopodobnie to samo pytanie postawił dziennikarzom amerykańskim oraz ekspertom Pentagonu Enrico Fermi, gdy 2 grudnia 1942 r. wraz ze swoimi współpracownikami uruchomił w Chicago, na stadionie sportowym miejscowego uniwersytetu, pierwszy w świecie reaktor atomowy. Byłem o tyle w lepszej sytuacji od moich amerykańskich kolegów, że wcześniej spotkałem się już z Ewą. To imię należy wpisać w cudzysłów. Miejsce zamieszkania — Świerk pod Warszawą, cecha charakterystyczna — pierwszy polski reaktor atomowy.

A teraz miałem się zapoznać z cyklotronem.

— Współczesnym badaniom atomistycznym nie wystarczają już stosunkowo słabe związki cząstek alfa lub neutronów, które są wydzielane przez preparaty promieniotwórcze. Dlatego też człowiek zbudował urządzenie, rodzaj rury, w której następują wyładowania zasilane dodatkowo generatorami wysokonapięciowymi. Wszystko to, by sztucznie otrzymać silne wiązki szybko pędzących protonów, deutronów, cząsteczek alfa i neutronów...

Mój bronowicki cicerone starał się mnie wdrożyć w elementarne tajemnice cyklotronowej wiedzy. Ja, laik, widziałem w tej aparaturze niepojętą plątaninę rur i przewodów, kombinacje jakichś płyt o ścianach lśniących szkłem, wypolerowanych do połysku, który niezawodnie może dać jedynie pasta „Kiwi". I to wszystko razem wtłoczone w potworne ciężkie gmaszysko o ścianach grubości — bagatelka — dochodzących do 3 metrów. Pierzyna z lanego betonu przygotowana specjalnie dla obywatela Atoma!

Obywatel ATOM

Gdy pada słowo atom bardzo wielu ludzi skłonnych jest zaraz węszyć jeżeli nie największe tajemnice XX wieku, to przynajmniej zamknięte na osiem spustów wyniki wojskowych doświadczeń i plany biorące swój początek wprost od gigantycznego „grzybka", który pewnego dnia w roku 1945 wyrósł nad Hiroszimą. To jest tylko półprawda. Atom może służyć człowiekowi nie tylko w dziedzinie zniszczenia. Atom powinien pomagać światu żyć i tworzyć. Truizmy? Tym razem cała prawda. W podkrakowskich Bronowicach szukałem odpowiedzi na pytanie — w jaki sposób.

Działanie przyrządu do badania mózgu przy pomocy izotopów promieniotwórczych opiera się na tym, że substancje promieniotwórcze skupiają się w tkankach dotkniętych chorobą. Notując wzrost koncentracji izotopów promieniotwórczych, przyrząd „melduje" lekarzowi o lokalizacji nowotworu.

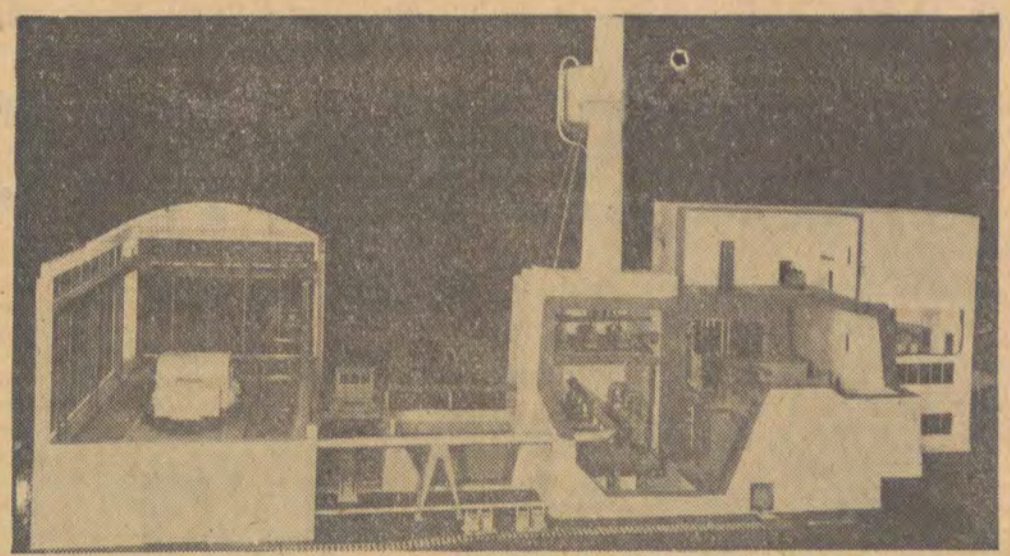

Model elektrowni atomowej wykonany wg projektu inż. Dąbrowskiego

* * *

Moi rozmówcy są anonimowi. Jest to nie tyle skromność naukowców co specyficzna „skaza" na jaką cierpią ci ludzie w stosunku do wszystkich przedstawicieli prasy. Bo — „oni zawsze coś przekręcą..."

Z „A" siedzimy więc przy czarnej kawie już nie w Bronowicach lecz pod arkadami Sukiennic u sławnego „Noworola". Młody, 37 lat, najpierw praktyka w Instytucie Badań Jądrowych w Dubnej pod Moskwą, potem Świerk i wreszcie cyklotron w Bronowicach. Na razie wszystko pasuje do utartego schematu mola książkowego, nawet okulary. Tylko, że mój rozmówca przybył na umówione spotkanie do kawiarni Noworolskiego wprost ze stadionu „Cracovii". Jest zagorzałym kibicem „pasiaków"...

— Dla wielu jesteśmy ludźmi, którzy nie wiadomo czym się zajmują, zamknięci w tajemniczych laboratoriach coś tam badają, preparują...

To coś to problemy mogące całkowicie przeobrazić życie współczesnego człowieka. Zresztą nie używajmy zbytnich ogólników. Atom „żyje" pomiędzy Bugiem i Odrą nie tylko w pracowniach uczonych, lecz stykają się już z nim i to codziennie setki, a nawet tysiące ludzi.

Dr A. zadał mi dość kłopotliwe pytanie: — czy wiem w ilu zakładach przemysłowych Polski wykorzystywane są już izotopy?

Otóż w równej osiemdziesiątce. Bezwzględny prymat ma w tej dziedzinie polska chemia oraz przemysł energetyczny. Dla nich właśnie Zakład Radiologii Przemysłowej Instytutu Elektroniki wykonał ponad 130 tzw. defektoskopów izotopowych, bezwzględnie wykrywających wszelkie uchybienia, doskonalszych od najbardziej wytrawnego i nie zawsze obiektywnego przecież brakarza. Na liście fabryk które otworzyły już swoje bramy przed izotopami figurują m. in. huta im. Lenina, huta „Warszawa", Fabryka Samochodów Ciężarowych, Fabryka Kotłów w Raciborzu, wielkie kombinaty chemiczne w Oświęcimiu i Kędzierzynie, Bielska Fabryka Urządzeń Technicznych. Niezastąpionymi kontrolerami jakości wykonanej roboty okazały się być izotopy przy budowie wielkiego rurociągu „Przyjaźń", którym spod Kujbyszewa popłynie do Płocka, a następnie do miejscowości Schwedt w Niemieckiej Republice Demokratycznej radziecka ropa naftowa — podstawowy surowiec dla wielkich zakładów petrochemicznych budowanych przez Polskę i NRD.

Mimo wszystko to są w dalszym ciągu tylko ogólniki. Przeliczmy je więc na złotówki: jak ustalono w Fabryce Samochodów Ciężarowych w Starachowicach praktyczne zastosowanie izotopów przyniosło temu zakładowi tylko w samym roku 1962 okrągły milion złotych dodatkowych oszczędności, w Bielskich Zakładach Urządzeń Technicznych „zaangażowanie" izotopów do badań produkowanych tam kół zębatych dało też milionik zysku, w ogromnej hucie w Stalowej Woli kontrolą jakości wyrobów też zajmują się izotopy i w ten sposób zaoszczędzono 2 mln. złotych.

Izotopy. W tym jednym słowie mieści się wielka, olbrzymia szansa jaką stawia do dyspozycji człowieka „Obywatel Atom".

Dr B. jest człowiekiem, bez którego pomocy wiele poszukiwań geologicznych za nową wielką ropą naftową czy też gazem ziemnym spaliłoby w ogóle na panewce. I w tym przypadku izotopy przyszły człowiekowi z pomocą przyjmując tym razem na siebie rolę detektywa. Metoda zastosowania izotopów przy poszukiwaniach geologicznych nazywa się karotarzem. Nie wiem czy dobrze pojąłem na czym ten sposób badań geologicznych polega, ale z grubsza biorąc wygląda on tak: do odwierconego otworu wpuszcza się sondę z materiałem promieniotwórczym oraz odpowiednią aparaturą pomiarową. Działanie izotopów powoduje wyprofilowanie, oznaczenie poszukiwanych warstw geologicznych. Podobno najlepsze wyniki osiągane są przy poszukiwaniach nowych pokładów węgla.

Wielkość i małość efektów, spraw które stawia się do rozszyfrowania izotopom to w tym przypadku proporcje dosyć względne. Bo kto wie co jest ważniejsze w ostatecznym efekcie dla współczesnego człowieka — czy znalezienie nowych złóż ropy naftowej, czy może oddanie do jego rąk jeszcze jednej potężnej broni w walce z chorobami nowotworowymi przysporzenie nowej, bardzo taniej metody zwalczania bakterii, izotopy umożliwiają też badanie rozwoju roślin, umieją chronić człowieka przed zakażeniem włośniami — poprzez zmieszanie z pokarmem świń przeznaczonych do uboju radiokobaltu, którego promieniujące atomy zabijają larwy włośni znajdujące się w mięśniach zwierząt. Można by tu jeszcze wymieniać tak istotne dla człowieka wyniki działania izotopów jak osiąganie znacznego przedłużenia świeżości pokarmów, jak wreszcie — tysiące innych pożytecznych funkcji, które na usługach człowieka spełnia „Obywatel Atom".

* * *

— Gdzie my jesteśmy, w jakim miejscu światowych tabel atomistycznych można wpisać słowo POLSKA?

To pytanie musiało paść nieuchronnie w rozmowach z ludźmi w białych fartuchach.

Więc — gdzie jesteśmy?

Zróbmy bardziej ogólny rachunek. Na świecie pracuje w tej chwili około 500 reaktorów jądrowych, z tego przynajmniej kilkadziesiąt to reaktory pływające na okrętach. Te ostatnie nie służą oczywiście do oznaczania zawartości potasu w nawozach, konserwowania fresków, badania wilgotności piasków firmierskich, czy też naświetlania nasion. Jeżeli się przyjmie, że na globie mieszka około 3 miliardy ludzi, to na jeden reaktor atomowy przypada 6 milionów. W Polsce ta „średnia" jest inna. Jest nas 30 milionów, posiadamy dwa reaktory. To znaczy jeden na 15 milionów. W atomowym wyścigu nie zajmujemy jeszcze na razie przodującego miejsca. Norwegia ma 4 miliony mieszkańców i trzy reaktory atomowe, mała Dania — aż cztery ośrodki badań jądrowych... Zresztą — statystyczne proporcje demograficzno-atomowe nie są tutaj najbardziej istotnym i prawidłowym miernikiem. W grę wchodzi zupełnie inny problem. Współczesny rozwinięty przemysł nie może się obyć bez usług jakie może świadczyć jedynie „Obywatel Atom". Dlatego też choć Polska posiada jedną z najbardziej cenionych w świecie kadrę atomistów, muszą oni wyjeżdżać dla wielu badań do Jugosławii, do Instytutu Badań Jądrowych w Dubnej, do NRD, by tam rozstrzygać owe problemy tak istotne dla naszej gospodarki. Są to poważne sprawy znowu dające się uchwycić w brzęczącej monecie. Nie wiem czy wiecie, że usługi oddane przez „Obywatela Atoma" w roku 1960 przemysłowi radzieckiemu zaoszczędziły ZSRR około 200 milionów rubli różnych wydatków.

Rozwijający się w Polsce przemysł precyzyjny budowy maszyn elektronicznych, przemysł ciężki stoczniowy będą wymagały od nas zrobienia i w tej dziedzinie jeszcze większego skoku. Musimy minąć Danię i Norwegię i wyrównać w szeregu państw szczycących się mianem — atomowych. Więc — do widzenia „Obywatelu Atomie". Mam nadzieję, że będziemy się z sobą spotykać nie tylko w Świerku czy w Bronowicach. I już niedługo.

KRZYSZTOF POGORZELEC

JUAN MANUEL TORRES

TAKA SAMA NOC

Wiktor dopadł samochodu zaparkowanego przy rogatce. Leonardo otworzył mu drzwi od wewnątrz i wyrzucił oknem papierosa. Nacisnął pedał gazu. Przejechali w ciszy ulice miasta i wyjechali na szosę. Wiktor wyciągnął rękę i ujął butelkę rumu stojącego na tylnym siedzeniu. Odkorkował ją i podniósł do ust. Pił długimi łykami nie zmieniając wyrazu twarzy. Spojrzenie wprzód — nie na przedpole oświetlone reflektorami, lecz w dal, gdzie w ciemności nikły sylwetki. Co jakiś czas rosły i zbliżały się pary punktów świetlnych. Samochody lub domy: autobusy ze śpiącymi pasażerami; zapewne dzieci przylepiwszy twarzyczki do szyb, oblekały je mgiełką, kreśląc na nich misterne znaki, kurcząc jednocześnie nóżki i ściskając brzuszki, aby się nie posiusiać.

Leonardo poprosił o butelkę. Wiktor podał mu nie spoglądając w jego stronę. Odsłonił mankiet koszuli i spojrzał na zegarek. Nie mógł dojrzeć wskazówek, więc zapalił zapałkę. Jego oświetlona twarz była blada.

— Jak ci poszło? — zapytał Leonardo.

— Upadł na wznak! — powiedział Wiktor. — Chciałem go odwrócić, ale weszła jego żona.

— Nie bądź przesadny!

— To jednak prawda — mówił Wiktor. — Zawsze się ginie jeśli oni padają w taki sposób.

— Czy widziała twoją twarz?

— Nie wiem. Było bardzo ciemno.

— Nie martw się! Nikt nas nie widział w tym przeklętym mieście.

— Oby tak było! — powiedział Wiktor. — Jeszcze nie mam ochoty umierać.

— Straszne jest to miasto! — mówił Leonardo. — Nie mieszkałbym w nim za nic w świecie.

Zgasił światło i zwiększył szybkość, aby wyprzedzić jadący przed nim samochód. Pozostawiwszy go za sobą, poprawił lusterko dla uniknięcia odblasku światła reflektorów. Wiktor podniósł się z siedzenia i ręka przejechał po jego wierzchu. Przejrzał dokładnie podłogę, a następnie otworzył schowek na rękawiczki, z którego wyjął mapę drogową, oliwiarkę, pudełko naboi i paczkę papierosów amerykańskich.

— Czego szukasz? — zapytał Leonardo.

— Pistoletu! — odpowiedział Wiktor. — Nie wiem, gdzie go położyłem.

— Czy dokładnie przeszukałeś podłogę?

— Tak!

— Tam go chyba nie pozostawiłeś?

— Pewien jestem, że go wziąłem...

Odwrócił się i począł szukać na tylnym siedzeniu. Podniósł gazetę i znalazł pistolet. Opuścił szybę okienną i wyrzucił pistolet w przydrożne zarośla.

— Boisz się?

— Nie, ale nie chcę mieć go przy sobie.

— Powiedziałem ci, że to przesądy...

— Przesądy, nie przesądy, ale teraz czuję się bezpieczniej.

Kilka kilometrów jechali w milczeniu. Gdy wydostali się z zakrętu, Leonardo mówił:

— W Veracruz jest tani burdel. Możemy pojechać.

— Po co?

— Przespać się z babką.

— Po co? — zapytał Wiktor. — Nie znałem takiej, która tego była warta.

Leonardo zamilkł. Światła zbliżającego się samochodu uniemożliwiały dobre śledzenie drogi. Lewą nogą wcisnął guzik, aby zmniejszyć intensywność swoich świateł.

— Możemy zabawić się zachowując jednak pieniądze na niepowodzenia. Nie uważasz?

— Tak, to lepsze...

Przejeżdżali obok małego miasteczka. Domy były drewniane, pokryte dachówką. Ciemnie niepotrzebnie kładły się na drogę. Przy otwartym jeszcze kiosku mężczyźni pili piwo, wykorzystując dzień sobotni na późny powrót do domów, do łóżek, w których śpią żony z najmłodszymi synami. Niektórzy, mocno pijani, do niczego nie byli zdolni, tylko do snu. Kładliby się bez słowa w pragnieniu zaznania spokoju, nie chcąc robić hałasu. Jak gdyby nikt w świecie nie mógł zrozumieć, że mężczyzna znudzony jest spaniem w jednym miejscu, w tym samym pokoju. Inni natomiast, młodsi, szarpaliby ciało, które czekało na nich w samotności. Zapomnieliby w ten sposób o sprawach, o których myśleli w czasie powrotu do domu, o chęci ucieczki, o chęci płacenia kobiecie, o postanowieniu niewydawania nigdy pieniędzy, o płaczu, o naiwnym porzuceniu jej, o stwierdzeniu, że wszystko zostało już zakończone, czego nie pragnęła, że była świnią, która za każdym razem upadała. Płacić i upokarzać ją! Zabić ją, jeśli to jest konieczne. Ale nie, wszystko to było kwestią pustki w jej osobowości i zapominało się o tych rzeczach. Tam byli młodzi, cała generacja, dumna, że całując swoje dziewczyny wykonuje swój obowiązek. Rzucając się do snu ze spokojnym ukontentowanym i nieudręczonym sumieniem, do następnej soboty, do następnej pijatyki. Tam byli młodzi: pogrążeni w śnie, z rozchylonymi wargami, śliniący poduszki.

Leonardo docisnął pedał gazu i ostatni dom pozostał w tyle. Zapalił papierosa i unikał myśli o Anabell. Zapomnieć ją definitywnie.

— Masz rację — powiedział.

— W czym? — zapytał Wiktor.

— Wszystkie kobiety są jednakowe.

— Powiedziałem, aby mówić.

— W każdym bądź razie to prawda.

— Nie wiem — odpowiedział Wiktor. — Ja miałem fajne.

Wydłużyła się przed nimi szosa bez zakrętów. Leonardo włączył radio i wśród trzasków wydobyła się melodia. Stary, modny dziesięć lat temu fokstrot. Leonardo delikatnie pokręcił gałką to w lewo to w prawo, aby wyeliminować trzaski. Kiedy otrzymał dźwięk mniej więcej czysty, melodia się skończyła. Wiktor wypił płyn pozostały w butelce i wyrzucił ją na asfalt. Rozbiła się, a trzask szkła zadźwięczał jak krzyk. Wiktor wybuchnął śmiechem.

— Co jest? — zapytał Leonardo. — Jesteś bardzo zadowolony?

— Tak! — odpowiedział Wiktor. — Bardzo zadowolony... Miło mi wiedzieć, że chcą człowieka zabić...

— Nie bądź głupi! — Już ci powiedziałem, że nieważne w jaki sposób padają...

— To mówisz ty, a ja mówię co innego. Kiedy padają na wznak, to zła wróżba. Oznacza to, że jeśli uciekasz, ktoś cię dogoni i zabije. Nie można ujść daleko.

— Powinieneś był zostać. Po co uciekałeś?

— Bo trzeba tak robić!

— Jesteś przesądny.

— To jedyne w co wierzę.

Zapanowała cisza. Leonardo kierował pewnie, nie odrywając wzroku od jezdni. Licznik był zepsuty, ale przypuszczalnie mógł wskazywać sto czterdzieści kilometrów na godzinę. Przyzwyczaił się pamięciowo obliczać szybkość pojazdu w okresie, kiedy pracował na linii autobusowej, zdążając z Meksyku do Nueva Laredo i z powrotem, bez pomocnika. Nawet szesnastogodzinną podróż odbywał sam. Przybywszy do którejkolwiek z dwóch krańcówek otrzymywał półtora dnia na odpoczynek. Te ciągłe podróże wykształciły jego wyczucie czasu i odległości do tego stopnia, że nie potrzebował spoglądać na licznik aby wiedzieć z jaką jechał szybkością.

W czasie jednej podróży, przybywszy do Nueva Laredo, poznał Anabell. Była brunetką, mieszkała w San Antonio. Chodzili tańczyć. Anabell miała 19 lat.

Poprzez cały ten okres, za każdym razem gdy Leonardo przybywał do Nueva Laredo, ona odkładała naukę w San Antonio i spieszyła swym wozem na spotkanie. Zatrzymywał się w jednym z największych pokojów skromnego hotelu. Otwierał wszystkie okna (w sumie trzy) i włączał wentylatory w suficie. Potem szedł oczekiwać jej przy moście. Doskonale znał jej samochód i nigdy nie mylił go pomimo, że czasami przejeżdżały inne tego samego koloru i modelu. Całowali się i jechali do hotelu. W pokoju Leonardo wyjmował z walizki jakąś wstążkę przywiezioną z Meksyku, a ona obdarowywała go skarpetkami, chusteczkami i koszulami amerykańskimi. Ta wymiana podarunków była swego rodzaju koniecznym zwyczajem. Bez niego oboje czuliby się źle.

Zdarzyło się kiedyś, że Anabell nie przybyła. Leonardo na darmo oczekiwał jej całą noc na moście międzynarodowym, a później w hotelu. Anabell nie zjawiła się.

W czasie powrotu Leonardo miał wypadek i stracił posadę. Myślał o niej w czasie tygodniowego leżenia w łóżku szpitalnym. Kiedy wyzdrowiał kupił bilet autobusowy i pojechał na poszukiwanie. Spotkał ją w San Antonio, w apartamencie przy ul. Broadway.

Tego wieczoru poszli do kina, a wychodząc zaproponował jej małżeństwo.

— Dlaczego kazali nam go zabić? — zapytał Wiktor.

Leonardo nie słuchał. Od niedopałka jaki pozostał mu z papierosa trzymanego w ustach, zapalił następnego.

Owej nocy Anabell powiedziała mu, że jest głupi, bo pożądała go i czuła się zadowolona przy nim, ale nic więcej, nie powinien myśleć o małżeństwie z nią i tak musi pozostać.

Dlaczego kazali nam go zabić? — nalegał Wiktor.

— Co mówisz? — zapytał Leonardo.

— Dlaczego kazali nam go zabić?

— Nie wiem!

— I nie domyślasz się?

— Mówią, że miał język bardzo długi — powiedział Leonardo ściskając oburącz kierownicę.

W oddali pokazał się trailer i Leonardo utkwił wzrok w światłach. Zbliżywszy się ujrzał gamę kolorów — czerwony, żółty, zielony i niebieski. Później zamknął oczy a krzyk Wiktora brzmiał w jego uszach jak trzask rozbitej butelki.

Juan Manuel Torres jest Meksykańczykiem, studiującym w tej chwili w Łodzi. Opowiadanie, które drukujemy, jest jego debiutem w języku polskim.

BARLOVENTO

BOGDAN GLEBKO

Barlovento

Ostry dzwonek telefonu przecina ciszę niedzielnego hawańskiego poranka. Czas senor, czas... Już czwarta — szemrze słuchawka. Tak, przecież to dzisiaj jedziemy na ryby. Wstaję, przez okno nic nie widać, bo jeszcze zupełnie ciemno, rosa, zimno, brrr... Zjeżdżam na dół. W hallu siedzi cała nasza grupka, cztery osoby zainteresowane tropikalnym rybołówstwem. W chwilę później pędzimy setką Maleconem, potem piątą Aleją, przecinamy Miramar i wydostajemy się na tyły miasta. Ta dzielnica to plaże, ekskluzywne, bardzo drogie kluby, prywatne kabarety i kasyna gry, ukryte w gęstwinie tropikalnych drzew rezydencje bogaczy, wille z bajki. Całkiem nie pasuje do tego otoczenia skromna sylwetka naszej Warszawy, chociaż jedziemy tak szybko, że i Cadillac by się nie powstydził. Coś tu jeszcze nie pasuje... W obrazie brak milionerskich samochodów, służby w liberiach i samych bogaczy. Są natomiast postacie uzbrojonych wartowników strzegących obecnych mieszkańców tej dzielnicy — Becados de Gobierno Revolucionario (czyli stypendystów Rządu Rewolucyjnego). Ciemne okna, kabarety straszą pustkami. Stypendyści są młodzi i muszą spać. Rano czeka ich praca w szkole i w domu. Instytucja „Becados" to jest wspaniały gest Rewolucji, która umożliwiła dzieciom bezdomnym, biednym a chcącym się uczyć — doskonałe warunki do nauki i pracy.

Przemykamy przez tę dzielnicę i mijamy w pędzie Riomar — jeden z bardziej ekskluzywnych klubów, otwarty teraz dla wszystkich. Mimo bardzo późnej pory (albo wczesnej) tu jeszcze jest ruch. Zwalniamy, po to aby zaraz skręcić w prawo w elegancką aleję prowadzącą do przystani, która jest naszym celem. Jeszcze chwila i z ciemności wyłania się Barlovento.

Jest to była prywatna rezydencja syna Batisty, w której urządzał polowania na ryby i orgie seksualne, na które zapraszał panie z towarzystwa, tancerki z kabaretów, albo, dla urozmaicenia, porwane z ulicy dziewczęta. Domek jest miły, nieduży i bardzo przytulny. Na dole jest obecnie bar, a na górze bardzo dobra restauracja. Jest tam ciemno teraz i cicho. Obok, na przystani, zamówiony jacht motorowy i dwóch ludzi. Tankujemy rope, wodę. Jeden z Kubańczyków wnosi na pokład dwie skrzynki piwa. Będzie co pić. Przygotowujemy przynęty. Ładujemy wędy i skrzyneczki ze sztucznymi przynętami, u końca których wiszą czterocalowe zadzierzyste haki, to przynęty na aguchy (aguja) jedne z najbardziej drapieżnych ryb tych wód. Celem polowania jest rekin, aguja, barracuda i bonito real. Prognozy dobre — niebo czyste jak kryształ woda spokojna i przejrzysta aż do dna, na którym rosną białe korale. Młodszy Kubańczyk — Manolito trochę jakby wstydliwie kładzie pod kokpitem dwa pistolety maszynowe i zapasowe magazynki. Nastrój się elektryzuje. Po co pistolety? Po co ta skromna minka na czarnej, roześmianej gębie Manolita? Niespodzianka. Jedziemy bardzo daleko w morze i trzeba bardzo uważać, na inne rekiny, te ludzkie — pływające po wodzie. Na pewno nic się nie zdarzy — zapewnia Manolo — ale lepiej, tak na wszelki wypadek, zabrać to i owo ze sobą. Pomyślałem sobie, że brak ręcznych granatów i działka przeciwlotniczego. Przecinamy Zatokę Barlovento i płyniemy na wschód prosto we wstające słońce. Mijamy Cayo Aruba — maleńką wysepkę, na której hemingwayowski Harry Morgan z „Mieć i nie mieć" załadował uciekających Kubańczyków. My nikogo nie ładujemy, tylko zmieniamy kurs i płyniemy na północ. Po wypiciu pierwszych dziesięciu butelek piwa Manolo ogłasza pogotowie i rozpoczyna się łowienie na stojąco. Ustawiam się przy rufie i czekam aż uspokoją się śruby. Dno jest ciemne i nic nie widać. Ale to nieważne — bo jeden z kolegów już złapał pierwszego żywca — vaquitę (czyli krówkę) małą, ale za to wyjątkowo szpetną rybkę.

Zarzucam luźną linkę z kawałkiem tuńczyka na milimetrowym drucie. Po chwili wyciągam maleństwo — viborę, która ani nie nadaje się do jedzenia ani na przynętę. Jeszcze nikt podobno nie złapał na takiego żywca. Wyrzucam rybkę za burtę, a z nią swoje rybackie szczęście. Od tej chwili upływają dwie godziny stałego zarzucania bez rezultatu. Ratuję się przed zdenerwowaniem piwem i rumem z butelki podanej przez Manola. Po drugim zarzuceniu łapie wreszcie coś, co mi zapiera oddech w piersiach. Ogromna, czarna płaska ryba uwiesiła się haka i ciągnie. Ciągnie mocno. — Popuszczam jej może z dziesięć metrów linki i powoli skracam. Linka jest luzem bez kołowrotka i wędziska — wrzyna mi się w ręce, udaje mi się ją podciągnąć ze trzy metry i zatrzymać na osadzie wędki, teraz Manolo powoli rusza motorem. Ryba miota się w bruździe lewej śruby, ale nie daje się ściągnąć. Boję się czy linka wytrzyma i każę Manolowi aby zatrzymał motor. Teraz lepiej. Udaje mi się podciągnąć rybkę bliżej. Coraz bardziej słabnie i daje się zahaczyć bosakiem. Ładna sztuka, chociaż w wodzie wydawała się znacznie większa, mierzy co najmniej pół metra długości i ze czterdzieści centymetrów szerokości a waży chyba pięć kilo. Jest bardzo gruba i ma skórę szorstka jak papier ścierny, czarne wypukłe oczy i masę drobnych ostrych zębów w pysku. To cocina — powiada Manolo i zabiera się do oporządzania.

Mamy już dość żywca i szykujemy wędki ustawiając je w osadach na rufie. Zbliża się dziewiąta — jeszcze jest czas na złapanie jakiejś dobrej ryby. O dwunastej są też szanse, ale mniejsze. Najlepiej łowić na hak wieczony wieczorem między czwartą a zachodem słońca. Decydujemy się łowić do wieczora.

Manolo rusza. Dwa silniki po 200 KM każdy nadają wielką szybkość łodzi. Szukamy łowiska. Manolo dobrze wie, gdzie są ryby. Odchodzimy dalej od brzegów i jesteśmy na granicy wód terytorialnych. Tu zarzucamy pierwsze dwie wędki skrajne. Szybkość trzy węzły, na hakach jedna vaquita i jedna mała cocina. Zdenerwowanie ogólne — wszyscy po raz pierwszy w życiu mamy do czynienia z tego typu rybołówstwem. Idziemy na północ.

Pierwsza łapie lewa wędka. Manolo natychmiast stopuje i rzuca się pomagać. Wypuszczamy sto metrów linki i czekamy. Po chwili linka się naprężą — zaczynamy ściągać, ale ryba jest wielka i nie daje się. Naprężona linka wibruje w powietrzu. Popuszczamy znowu kilkanaście metrów. Linka jest pleciona i bardzo mocna — powinna wytrzymać. Jest! Tę raz dopiero widać cośmy złapali. Mały, może półtorametrowy rekin rzuca się w wodzie. Błyska ciemno szara skóra i białawy brzuch. Staramy się go ściągać, jednocześnie dając się ciągnąć. Jest coraz bliżej. Jak to dobrze, że założyliśmy stalowy, pleciony dwumilimetrowy przypon. Tego nie przegryzie nawet rekin, chociaż ma zęby ostre jak brzytwa. Podciągamy go do burty. Broni się słabo — jest najwyraźniej bardzo zmęczony. Ale rekinowi nie wolno wierzyć. Potrafi w ostatnim momencie, chociaż pozornie zupełnie martwy, narobić nieszczęścia na pokładzie. Ta diluwialna bestia, której forma i sposób życia nie zmieniły się od milionów lat po-

KRYSTYNA WOJTASIK

„CYD" w TZŁ

Wystawieniem „Cyda" Corneille'a — Wyspiańskiego dowiódł Teatr Ziemi Łódzkiej ambicji i odwagi. Zdawałoby się, że monumentalizm, rozległość przestrzeni scenicznej, stanowią jakiś nieodzowny atrybut inscenizacji „Cyda", tymczasem wciśnięty w ciasne ramy scenki przy ul. Kopernika (warunki w objeździe będą podobne lub gorsze), wyszedł z tej próby, w większości momentów, zwycięsko. Skameralizowany „Cyd" nie stracił nic ze swej zasadniczej wymowy a może nawet przeciwnie zbliżenie bohaterów do widza poprzez ograniczenie przestrzeni scenicznej, a tym samym efektów scenograficznych i inscenizacyjnych, skoncentrowało uwagę reżysera, aktorów i publiczności na warstwie „wewnętrznej" utworu, na przeżyciach i stanach psychicznych działających postaci.

Wspomniane ograniczenia zaszkodziły jedynie scenom zbiorowym na dworze króla Kastylii, którym zabrakło owego koniecznego tu jednak, szerokiego oddechu. Ale nie one są przecież najistotniejsze.

Najważniejszą w spektaklu TZŁ stała się Szimena. Przez nią i dla niej toczyła się akcja, ona, w interpretacji Barbary Olszańskiej, zadecydowała o wyrazie i temperaturze przedstawienia. Wykonawczyni tej roli wzruszającą szczerością gry i temperamentem aktorskim, wysunęła się zdecydowanie na czoło zespołu, a przy tym postać hiszpańskiej grandezzy o duszy rozdartej między pragnieniami miłości a nakazami honoru (które to zmagania, choć, oczywiście, w zmodyfikowanej formie nie są może nam dziś tak bardzo obce jak to się zwykło sądzić) zdołała uczynić zrozumiałą dla każdej widowni.

Niestety, zabrakło jej partnera. Nijakość postaci Rodryga-Cyda obniża lot spektaklu. Zbigniew Szymczak, wbrew tekstowi, jest od początku do końca mało zaradnym młodzieńcem, który dostał się w tryby okrutnej machiny życia, a potem, mimo woli, przez łaskawsze losy zostaje kreowany na bohatera narodowego. Aktor utrzymuje rolę na jednym tonie, gra przede wszystkim warunkami zewnętrznymi, które ma zresztą doskonałe, nie podlega w toku akcji żadnym przeobrażeniom. A przecież Rodrygo to nie Cyd, mało tego, Rodrygo rozpoczynający mówić swój wielki monolog z aktu I i kończący go, to już nie ten sam człowiek. W trakcie tego monologu zapala się przecież gniewem, podjega się do zemsty, walczy z miłością do kobiety, której ojca ostatecznie decyduje się zabić. I tu Rodrygo dojrzewa po raz pierwszy. Ale aktor rozpoczyna swoje stance na krzyku i kończy na krzyku i nic się wobec tego nie dzieje. A drugi raz Rodrygo dojrzewa, kiedy porzucając prywatne dramaty, decyduje się walczyć z Maurami i przeistacza się w Cyda-Zwycięzcę. Ale i w tej ostatniej scenie mamy wciąż do czynienia z owym mało zaradnym młodzieńcem... I o to można mieć pretensję zarówno do aktora, jak i do reżysera, którego wytrawną rękę znać przecież na całości spektaklu.

Zgłosiłabym jeszcze monit w związku z opracowaniem muzycznym „Cyda" w TZŁ. Muzyka nie podbudowała przedstawienia tonami tragicznego patosu, które byłyby tutaj jak najbardziej na miejscu.

Teatr Ziemi Łódzkiej. „Cyd" Corneille'a-Wyspiańskiego, reżyseria: Emil Chaberski, scenografia: Antoni Bystroń, opracowanie muzyczne: Aleksander Gross.

Od prawej: B. Olszańska — Szimena, A. Jurkowska — Infantka, D. Bartosiewicz — Eleonora, J. Derżyńska — Paź.
Fot. Franciszek Myszkowski.

ANDRZEJ KEMPA

O sztuce i innych jeszcze sprawach

Niektórzy złośliwcy szepczą sobie dyskretnie na ucho, że kiedy rozpatrywano w Łodzi sprawę kandydatury na stanowisko dyrektora najmłodszej placówki muzealnej, na stole przewodniczącego prześwietnej komisji kulturalnej znalazła się tylko jedna oferta — mało znaczącego jeszcze wówczas asystenta Katedry Historii Sztuki Nowożytnej Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, Mariana Minicha. Wobec alternatywy pozostawienia na łasce losu pożytecznej placówki kulturalnej zdecydowano się, zdaniem tychże złośliwych plotkarzy, ofiarować Minichowi kierownictwo Muzeum im. Bartoszewiczów w Łodzi. Gwoli sprostowania fałszywych i krzywdzących dla zasłużonego naukowca i działacza społecznego opinii, pozwalam sobie zacytować zdanie, wzięte wprost z popularnego w latach międzywojennych „Kuriera Łódzkiego": „Komisja po zapoznaniu się ze złożonymi ofertami w liczbie 10 i po wszechstronnym zbadaniu kwalifikacji kandydatów, uznała za najodpowiedniejszego na stanowisko kierownika Muzeum im. Bartoszewiczów dr Mariana Minicha". (nr 313 z dn. 20 listopada 1934 r.). Konkurencja więc była i to wcale silna, kiedy dziewięciu kandydatów musiało się pożegnać z myślą o kierowaniu łódzkim muzeum sztuki. I tak do dziś dyrektor Minich sprawuje trudny obowiązek utrzymania powierzonej mu przed laty instytucji, która stała się dlań najukochańszym dzieckiem.

Przybysz znad Pełtwi szybko wrósł w grunt łódzki, choć z taką obawą jechał do tego „niebezpiecznego miasta", znanego mu chyba przedtem jedynie z kart reymontowskiej powieści. Po 25 z górą latach postanowił opowiedzieć o perypetiach łódzkiego muzeum w okresie międzywojennego dwudziestolecia, o losach bezcennych zbiorów muzealnych w czasie hitlerowskiej okupacji i w chwili powojennej odnowy. Takiej opowieści nie zastąpi najlepiej nawet zredagowany katalog wystawy czy zarys historyczny rozwoju muzeum, bo brak tam będzie ożywiającej bezpośredniości i lekkiego sentymentu, tak bardzo czasem potrzebnego.

Czytać należy wspomnienia Minicha uważnie, a najlepiej zaraz po tej zajmującej lekturze wstąpić w gościnne progi dawnego pałacu Poznańskich, gdzie ma swoją siedzibę łódzkie Muzeum Sztuki. Trzeba spotkać się oko w oko z tą przeszłością, o której opowiada czarujący gawędziarz. Bo też nie szukać w pamiętnikach Minicha nudnej i erudycyjnej wiedzy o eksponatach muzealnych, nasz miły cicerone zatrzymuje się przed ciekawszymi tylko obrazami i rzeźbami, opowiadając zasłuchanemu widzowi o Władysławie Strzemińskim i jego żonie, Katarzynie Kobro, to znów o Karolu Hillerze i i łódzkiej grupie artystów „a.r.".

Czasem pamiętnikarz darzy czytelnika jowialnym humorem, czasem dowcip, zamiast cieszyć, przynosi chwile zastanowienia i refleksji. Ze swobodą dokonuje autor zmiany akcji i sytuacji, wprowadzając nas za kulisy codziennych spraw społeczności artystycznej w różnych środowiskach i miejscowościach zamieszkałej. Zaglądamy więc do pracowni świetnego artysty palety i pióra Tytusa Czyżewskiego, cofamy się przed groźną lufą pistoletu wysuniętą przez szparę drzwi rzeźbiarza Xawerego Dunikowskiego.

Właśnie w Łodzi zrodziła się koncepcja „zerwania ze sztuką odtwórczą, literacką i kontemplacyjną" — dziedzictwem przełomu dwóch stuleci. Zadaniu temu miała sprzyjać kapitalna kolekcja międzynarodowej sztuki nowoczesnej, ofiarowana miastu w 1931 r. przez grupę „a.r.". A pierwotnie zamierzano cały zestaw przekazać Muzeum Narodowemu w Warszawie, lecz... stolica odrzuciła propozycję. Dzięki temu wspaniałe zbiory, w których nie brak było prac wybitnych artystów europejskich, pozostały w Łodzi, tworząc podwaliny stałej ekspozycji sztuki nowoczesnej, nie mającej precedensu w Polsce, ba tylko Hanower wyprzedził nas w realizacji zamierzenia. A że plan stworzenia takiej właśnie ekspozycji realizowany był konsekwentnie przez autora wspomnień i jego współpracowników, przeto dostojnie brzmiące miano „Miejskie Muzeum Historii i Sztuki im. J. i K. Bartoszewiczów" zamieniano czasem określeniem „Szalona Galeria". Bo też nie w smak były wychowanym na tradycjach Styków i Żmurków pułkownikom i dygnitarzom sanacyjnym, decydującym w sprawach kultury, tak niebezpieczne nowości, jak dzieła Pablo Picasso, F. Legera, czy J. Heliona. Zanotowane przez autora wspomnień oceny dzieł sztuki nowoczesnej zasłyszane z ust dostojników rządowych i ojców miasta zaskakują dziś ignorancją i obskurantyzmem pewnych sfer ówczesnej Polski.

Tragicznym epizodem w życiu autora wspomnień stał się czas kilkuletniej niewoli niemieckiej. Wielokrotnie już przez pamiętnikarzy poruszany problem doczekał się nowego oświetlenia. Historyk sztuki, humanista i estetą z bliska spojrzał na ogrom ludzkich cierpień więźniów osadzonych w fabryce Gliksmana, przy ul. Łąkowej. Ale najbardziej przejmującym momentem w lekturze tej partii wspomnień okazuje się świetny przez swą lapidarność opis reakcji esesmańskiego doga na zastrzelenie małego pieska przez swojego pana.

Brak w literaturze poświęconej Łodzi obszerniejszego studium o dziejach muzealnictwa w naszym mieście. Kiedy ktoś opracuje ten wdzięczny temat, będzie musiał skorzystać z pamiętników Minicha, które wiele spraw wyjaśniają i tłumacza.

Wielka szkoda że „Szalona galeria" ukazała się w tak skromnej oprawie graficznej. Korzystniej przecież przedstawiłyby się reprodukowane eksponaty, gdyby zagrała barwa. Przecież tak bardzo urzeka i przyciąga wzrok fantasmagoria Witkiewicza, widoczna na obwolucie książki.

Marian Minich: Szalona galeria. — Łódź 1963 WŁ. 8°, s. 205, nlb. 3, portr., ilustr., zł. 28,00.

siada jakaś niesamowita żywotność. Zarzucam rybie pętlę na ogon a potem pod płetwy brzuszne i przywiązuje do relingu, podciągając ją kilka centymetrów nad poziom wody. Teraz nie ucieknie i nie narobi kłopotu swoim zachowaniem.

Manolo gotuje obiad. Na ofiarę żarłokom idzie moja wielka cocina. Ziemy ją z ryżem i sosem pomidorowym. Jest to wyjątkowa, bardzo smaczna i tłusta ryba.

Hemingwayowskie nastroje pryskają. „Stary człowiek i morze" oraz „Mieć i nie mieć" zatracają swój kształt i aktualność. Nie ma niebezpieczeństwa strzelaniny i obawy samotności. Jesteśmy najedzeni i pełni ochoty na dalsze łowy. Nie ma jej Manolo i mimo obietnic i komplementów decyduje się zawracać. Nie ma co, musimy go słuchać.

Na trawersie mamy już ląd. Kilka mil od Barlovento spotykamy małą łódź holującą na motorze wielkiego, może trzymetrowego, zaduszonego linką delfina. To uczniowie technikum rybackiego złapali tego potwora na martwą przynętę uwieszoną na golym konopnym sznurze. To się nazywa mieć szczęście. Proszą nas, abyśmy delfina zabrali do Barlovento, ponieważ oni z takim bagażem płyną zbyt wolno. Z trudem wciągamy dwustukilowa masę na pokład i ładujemy też całkiem uspokojonego rekina.

Na przystani budzimy sensację. Takiego połowu nikt nie miał tu od dawna. Delfin i rekin. Wielka rzecz. Na wszelki wypadek nie mówimy nic o uczniach z technikum rybackiego.

Zapada szybki tropikalny zmierzch. Wracamy do hotelu zmęczeni i pełni wrażeń. Przemykamy szybko jasno oświetlonym Miramarem pełnym młodzieży w mundurach, mijamy tunel, wpadamy na Malecon prosto w serce miejskiego ruchu Hawany.

Hawana, w lutym 1963

CÉSAR VALLEJO

CÉSAR VALLEJO urodził się 16 marca 1893 roku w Santiago de Chuco w Peru. W 1918 roku osiedlił się w Limie, gdzie debiutował tomikiem wierszy „Los heraldos negros" („Czarni heroldowie"). Uwięziony za działalność rewolucyjną w 1922 roku pisze drugi tomik poezji „Trilce". W rok potem emigruje do Europy. Mieszkając stale w Paryżu w 1928 i 1929 roku odwiedza Związek Radziecki i szereg innych krajów. Zmuszony do opuszczenia Francji (z racji swych poglądów politycznych) osiedla się w Hiszpanii — po dwu latach jednak uzyskuje zezwolenie na powrót do Francji. W 1937 roku znów udaje się do Hiszpanii, aby tam wziąć czynny udział w wojnie domowej po stronie republiki. Pisze wówczas poemat „Espana, aparta de mi este caliz" („Hiszpanio oddal ode mnie ten kielich"). Zmarł w Paryżu 15 kwietnia 1938 roku. César Vallejo jest również autorem powieści „El tungsteno" („Wolfram") oraz sztuk scenicznych.

HISZPANIO, ODDAL ODE MNIE TEN KIELICH

III.

Pisywał w powietrzu paluchem:
„Niech żyją towarzysze! Pedro Rojas",
z Miranda de Ebro, ojciec i człowiek,
mąż i człowiek, kolejarz i człowiek,
ojciec i coś więcej niż człowiek.
Pedro i jego dwie śmierci.

Jak papier na wietrze — zabito go: zgiń!
Jak pióro z ciała wyrwane — zabito go: zgiń!
„Natychmiast zawiadom wszystkich towarzyszy!"

Słup, na którym powieszono jego kukłę,
zabity,
zabity dla jego palucha!
Jednocześnie zabity też Pedro, Rojas.

Niech żyją towarzysze
u jego wezgłowia napisane w powietrzu!
Niech żyją, z tym sępim żet w trzewiach
Pedra
i Rojasa, bohatera i męczennika!

Gdy stwierdzali zgon byli zaskoczeni
ciałem wielkim w jego ciele, dostosowanym
do duszy świata.
A w jego marynarce — martwa łyżka.

Także Pedro jadał
razem ze swymi maleństwami, czyścił, malował
stół i żył słodko
w wyobrażeniach wszystkich.
A ta łyżka poruszała się w jego kurtce,
gdy spał, lub gdy był na jawie, zawsze.
łyżka martwa za życia, ona i jej symbole.

Natychmiast zawiadom wszystkich towarzyszy!
Niech żyją towarzysze dla tej łyżki na zawsze!

Zabili go, zobowiązując do śmierci,
Pedra, Rojasa, robotnika, człowieka, tego,
który urodził się maleńki, zapatrzony w niebo
i który szybko rósł, poczerwieniał
i walczył ze swymi komórkami, ze swymi „nie",
ze swymi „jednak", głodem i kęsami.

Zabili go, łagodnie
we włosach jego żony, Juany Vazquez,
w godzinie ognia, w roku postrzelenia,
gdy już dochodził kresu.

Tak więc po śmierci Pedro Rojas
podniósł się, ucałował skrwawiony katafalk,
zapłakał nad Hiszpanią
i znowu pisał w powietrzu palcem
„Niech żyją towarzysze! Pedro Rojas".

Jego zwłoki przenikał świat.

DOROŚLI

O której
wrócą starsi?
Szósta wybił ślepy Santiago
i już bardzo ciemno.

Mama powiedziała, że zaraz wróci.

Agatko, Natalko, Michasiu!
Uważajcie, nie chodźcie tam,
gdzie właśnie, bekocąc wspomnienia
idą przytłaczające zmartwienia
na milczący wygon
i gdzie
kokoszące się jeszcze kury
bardzo się czegoś wylękły.
Chodźmy stąd lepiej...
Mama powiedziała, że zaraz wróci.

Już się nie boimy. Widzimy
stateczki. Wybrałem sobie najładniejszy.
nie kłócimy się. Tak być powinno.
Bawimy się nimi całutki dzień.
Zostawiamy je w bajorku, gotowe do podróży,
załadowane słodyczami na jutro.

Poczekamy więc — nie ma na to rady —
posłuszni, aż wrócą, aż przeproszą
starsi, co nas wyprzedzają,
zostawiają w domu maleństwa,
jakbyśmy także
nie mogli wyjść.

Agatko, Natalko, Michasiu?
Wołam, szukam po omacku w ciemnościach.
Nie zostawiły mnie chyba samego,
nie jestem chyba sam, więźniem?

Tłumaczył z hiszpańskiego
EDWARD MARTUSZEWSKI

JERZY WALEŃCZYK

IDEAŁY ŻYCIOWE

(II)

Truizmem byłoby zdanie, że każda epoka wypracowuje swój indywidualny model życiowy, model bohatera, który w mniej lub bardziej idealny sposób kształtuje przeciętną osobowość epoki. Antypody wzorów życiowych są częste, bez mała stanowią prawidłowość. Asceci i trubadurzy, minensingerzy, flagellum i zamtuzy, poszukiwacze absolutu i poszukiwacze nowych lądów, przeplatali się ze sobą, kształtowali profil epoki.

Wiek XX, który zbliża się do końca, bo 40 lat, które zostało to nie jest tak wiele, nosi w sobie równie płód nowych perspektyw, jak płód zniszczenia i rozboju.

Koncepcje historiozoficzne naszej epoki są zbyt generalne — moim zdaniem — zakładają pewne zjawiska z góry, historiozofia, dokonuje wyczynów zonglera.

Klasy zagrożone historia powołały do życia wiele mistycznych teorii, postawy fideistyczne były raczej przykładami koncepcji bez uwierzytelnienia w realiach.

Rosja, która zrobiła kapitalny krok naprzód w dziedzinie techniki rakietowej od czasów Ciołkowskiego otwiera szerokie perspektywy. Do rakiety kosmicznej nie wsiadają ułomki, są to ludzie, których postawa jest niejako sumą odwagi i precyzji.

Astronauci przez niektórych badaczy, egzegetów Biblii byli utożsamiani z aniołami, np. zniszczenie Sodomy i Gomory według jednej z wersji było dziełem astronautów, którzy przybyli na Ziemię z innej planety.

Ale nie wszyscy mogą być astronautami.

Zatrzymajmy się nad niektórymi aspektami niewątpliwego romantyzmu naszej epoki — nad pokonywaniem, przede wszystkim naturalnych instynktów, nad waga jednostki w momentach rozstrzygających.

Aleksander Bek w „Szosie Wołokołamskiej" cytuje przykłady strachu przed Niemcami i powolnego opanowywania tego strachu. „Pieśń o Rolandzie", wnosi wiele światła do zachowania się jednostki, grupy w trudnych warunkach. Te dwie książki zestawiał w swoim czasie Chałasiński. Oczywiście, odwaga, jako taka, jako kantowska rzecz sama w sobie mało znaczy, mniej nawet niż by zakres tego pojęcia w sensie potocznym sygnalizował. Odwaga polskiego desantu w czasie drugiej wojny światowej pod Arnheim, wystrzelanego jak kaczki, zanim jeszcze osiągnął ziemię, teraz, retrospektywnie rzecz biorąc, prawdopodobnie nie wchodziłaby w zakres pojęcia odwagi. Jeden z bohaterów książki Normana Mailera ociąga się, bo nie jest pewien czy Niemcy nie będą w przyszłości sprzymierzeńcami Anglików.

O co mi chodzi? Ideały życiowe są na pewno wynikiem w pewnej mierze opanowania mechaniki świata, poznania jej, tak jak i poznania mechaniki naszej biologicznej egzystencji. Oczywiście, to poznanie jest częściowe, świat robi dość dużo, aby zdezorientować jednostkę, powołując wiele gigantycznych mitów do życia.

Romantyzm naszej epoki jest zaskakujący. Jest on — powiedziałbym — romantyzmem romantyzmu, jeżeli weźmie się pod uwagę coraz to głębsze poszerzanie i wydłużanie dróg i ambicji poznania.

Jeżeli wiek XIX, wyeksponował ideał doskonałego administratora, który jest sprawniejszy od swego pana, nieudolnego króla, chyba w sposób dość oczywisty, wiek XX nadaje wysoką range naukowcowi.

Symbioza sztuki i nauki, która się utrwala jest fenomenalnym refleksem historii, niektórych grup społecznych i podstawowych zmian w funkcji inteligencji, jako grupy w społeczeństwie współczesnym. W każdym razie pozycja inteligencji zmienia się nieco, jakkolwiek problemem otwartym pozostaje teza o jej służebności.

Zakładając całe zróżnicowanie grup społecznych można powiedzieć, że ideał romantycznego bohatera, w pewnym sensie przenika do naszej epoki. Oczywiście w XX wieku nie ma Robin Hooda, Jakuba Szeli, ale pojęcie Przygody, pojęcie Kolektywu, pojęcie Wspólnoty zawierają jakieś elementy zmodernizowanego romantyzmu.

Otrzymujemy piramidę, na której szczycie będzie wyeksponowany astronauta, bohater kosmosu, u podstaw zaś, będzie ktoś, kogo ogólnie można by nazwać — altruistą. Altruizm będzie chyba zawsze bazą współżycia ludzi. Egoizmy zarówno jednostek, jak i grup, czy klas eksploatatorskich w XX wieku są zawodne. Zyski egoistów stają się stratami. To nauka ostatnich dziesiątków lat. Łącznie ze zniknięciem XIX-wiecznych pojęć autonomii politycznych, pojęcie egoizmu deaktualizuje się, jako czynnik konstytutywny.

Oczywiście, romantyczny ideał świata nie jest tożsamy z ideałem modelu obywatela, drobnego urzędnika, nad którego losem wisi camusowska etykietka. Drobny urzędnik jest zaszufladkowany. Pełnię swojego losu może realizować w ramach etykietki. U nas jednak ma szanse pracy społecznej, zaryzykowałbym, wielkiej przygody szarego człowieka naszych czasów.

Romantyzm naszej epoki w aspekcie szarego człowieka byłby to rozwój i awans jednostki rozumiejącej mechanikę życia i świata. Zakres możliwości wyznaczają już tylko determinanty etyki, celu. Wielkość romantyzmu naszych czasów widziałbym w rozwoju osobowości ludzkiej, wzniesieniu określonych barier sprzyjających jej rozwojowi. Każda generacja tłumaczy na swój użytek pojęcia, stare, tradycyjne. Nasz romantyzm polega na nowym rozważeniu starych tradycyjnych pojęć. Niektórym generacjom, czego mieliśmy okazję być świadkami, tradycyjne pojęcia eksplodują w dłoniach.

Dlatego trzeba do nich podchodzić ostrożnie.

JERZY KAŁUŻYŃSKI

O snach maturalnych DOBROCI I TREMIE

Matura — magiczne słowo. Słowo, które Ciebie, przyszły maturzysto, przyprawia o lekkie drżenie, czujesz jakiś dziwny smak w ustach, wydaje Ci się, że serce twoje zaczyna chyba swoją zwykłą melodię w rytmie przyśpieszonym. Nieraz myślisz, jacy są szczęśliwi ci, którzy już maturę mają poza sobą. Jacy szczęśliwi, jacy szczęśliwi!

Niedawno spotkałem swego dobrego znajomego. Człowiek w średnim wieku. Twarz pobladła, oczy przygaszone, lekko przygarbiony. Jakiś inny niż zwykle. Przyglądam mu się. — Co ci jest? — pytam. — Ach, nic — odpowiada z pewnym wahaniem w głosie. Czuję jednak, że coś kryje. Po chwili zaczyna: muszę ci coś opowiedzieć, coś wyznać, może to cię zainteresuje, może mnie przyniesie pewną ulgę. Znów przerwa i powoli ciągnie swe opowiadanie.

— Wiesz, nigdy nikomu o tym nie opowiadałem, bałem się, że wyśmieją mnie, że nie zrozumieją. Co rok w tym samym miesiącu mam dziwny sen, sen dla mnie bardzo przykry. Śni mi się zwykle nad ranem, że składam egzamin maturalny. Sen jest bardzo plastyczny. Wchodzę na salę i widzę te same twarze, które oglądałem kilkadziesiat lat temu, ten sam stół, pokryty zielonym suknem i te oczy wpatrzone we mnie. Czuję, że wrastam w ziemię, nogi odmawiają mi posłuszeństwa, nie mogę wydobyć głosu i tylko serce galopuje. W uszach dzwoni tętent stu rozhukanych koni. Budzę się zlany potem, z bijącym gwałtownie sercem. Przestraszeni domownicy wzywają pogotowie. Przyjeżdża lekarz. Przypisuje lekarstwo nasercowe. Nieśmiało odzywam się. Panie doktorze, przeżyłem w śnie okropną scenę. Lekarz przerywa mi i fachowo, krótko wyjaśnia: ludzie chorujący na serce miewają stany lękowe. One są następstwem choroby. Wyobraź sobie — ciągnie mój rozmówca dalej z wypiekami na twarzy — zdarzyło mi się to po raz pierwszy od tylu lat — że następnej nocy mam dalszy ciąg poprzedniego snu. Śni mi się, że budzę się z gwałtownym biciem serca i po chwili umieram. Następuje tu jakieś dziwne, niezrozumiałe dla mnie jak gdyby rozdwojenie mej jaźni. Widzę siebie martwego, ale jednocześnie zdaję sobie sprawę, że myślę, a więc żyję. Po pewnym czasie wchodzi do mego pokoju dwóch poważnych brodatych profesorów, którzy pochylają się nad mymi zwłokami i słyszę wyraźnie ich rozmowę: „za dużo jadł masła, za dużo w organizmie cholesterolu, zmarł na zawał serca".

Kiedy mój znajomy kończył swe wyznanie, przypomniało mi się opowiadanie jednej z matek. Chciała ona, aby trzyletni synek był grzeczny i zasypiał zaraz po włożeniu do łóżeczka. Opowiadała więc mu o strasznej babie Jadze, która pożera niegrzeczne dzieci, które nie słuchają mamusi i nie chcą spać. Razu pewnego dziecko budzi matkę strasznym krzykiem. Śni mu się, że baba Jaga siedzi przy jego łóżeczku i swoimi złymi, zielonymi oczyma wpatruje się w niego. Babę Jagę widzi jeszcze po przebudzeniu, siedzącą na krześle tuż, tuż... Od owej pamiętnej nocy chłopiec zaczął się jąkać. Traf chciał, że niezadługo spotykam drugiego swego znajomego mającego opinię wielkiego znawcy spraw młodzieżowych i teraz ja z kolei pytam: co sądzisz o tremie egzaminacyjnej i jej działaniu? Odpowiada: nie wierzę w tremę, uważam, że jeśli jest się przygotowanym do egzaminu, to zawsze się zdaje, a zresztą nie można uznać tremy, bo wówczas każde nieuctwo, brak zdolności można by tremą właśnie tłumaczyć. Nasza młodzież cierpi nie na nadmiar tremy, a na nadmiar tupetu, tego tupetu, który jest tak przykry, tak się nam wszystkim daje we znaki.

Gdzie jest prawda? Wielcy artyści w swoich autobiografiach mówią o tremie przed występami publicznymi, które przecież są niczym innym, jak egzaminem wobec pewnego audytorium. Skarżą się na tremę aktorzy, śpiewacy, muzycy. Mówi o tremie Solski, Ćwiklińska. Słynny śpiewak włoski Caruso mówi, gdyby ludzie wiedzieli, jak wielu jest między wielkimi śpiewakami nie mniej wielkich tremiarzy, to oniemieliby ze zdziwienia. Słynny muzyk węgierski nie może brać udziału w międzynarodowym konkursie szopenowskim z powodu tremy. Trema towarzyszy adwokatom, prelegentom, dziennikarzom, pedagogom. Kiedyś podczas wykładu urządzonego przez ZNP dla pedagogów zapytałem: kto z państwa cierpi na tremę. 95 proc. rąk podniosło się do góry. A przecież nikt nie zaprzeczy, że pedagodzy dużo muszą mówić i potrafią mówić.

Jedna z dziennikarek łódzkich opowiadała mi, że kiedyś prowadziła wywiad radiowy ze słynnym lotnikiem, którego pierś zdobiło wiele orderów, zdobytych za odwagę podczas wojny. Żeby pan wiedział jak ten człowiek drżał, jak załamywał mu się głos, aż litość mnie brała. Można by przykłady mnożyć.

Z drugiej strony znamy tych tupeciarzy, albo nieuczków, którzy mówiąc trzy po trzy potrafią całe godziny przemawiać bez śladu jakiejkolwiek tremy.

W bardzo ładnym filmie radzieckim „Zmartwychwstanie", osnutym na tle powieści Tołstoja, młody postawny prokurator wygłasza swą mowę oskarżycielską przeciwko Kati Masłowej. Wygłasza przemówienie z wielką swadą. Przemówieniu temu przysłuchuje się sędzia, który ma wydać wyrok, przysłuchuje się argumentacji i w pewnej chwili mówi cicho sam do siebie, patrząc na przemawiającego: „głupiec".

Tak trema bije nieraz w tych którzy wiele wiedzą, którzy mają bujne życie uczuciowe, żywą wyobraźnię, duży krytycyzm i samokrytycyzm, czasami duże ambicje, a może czasami jest to sprawa odległych i zapomnianych urazów psychicznych?

Mechanizm działania strachu wspaniale odmalował Słowacki w „Kordianie". Kordian spiskowiec idzie, aby zabić cara. Toczy walkę wewnętrzną. Cała wola napięta. Imaginacja mówi: „Słuchaj! ja mówię oczyma". Strach: „Słuchaj! — mówię — bicie serca!" Kordian idzie naprzód, aby utopić bagnet w piersi tyrana i pada nieprzytomny na progu sypialni cara.

U jednych trema jest czynnikiem mobilizującym. Niektórzy aktorzy mówią: aktor bez tremy to automat. U innych jest czynnikiem paraliżującym, uniemożliwiającym działalność. Różne jest natężenie tremy, nie wszyscy umieją i mogą ją opanować. Prawie 100 proc. młodych ludzi podaje w ankietach, że odczuwa lęk przed egzaminem, lęk mniejszy lub większy, ale zawsze przykry lęk. Czy można by ten lęk, choć częściowo rozładować? Tak, można.

Przede wszystkim trzeba uznać, że on istnieje u młodzieży, tak jak istnieje u nas wszystkich, następnie potrzeba trochę uśmiechu u egzaminujących, mniej sztywności i oficjalności, mniej pompy zewnętrznej, a więcej serca.

To wszystko nie znaczy jednak, że należy być pobłażliwym dla tych, którzy nic nie umieją. Przeczyłoby to zasadzie sprawiedliwości. Ale tak samo przeczyłoby zasadzie sprawiedliwości nie uwzględnianie faktu tremy egzaminacyjnej.

Na zakończenie chcę jeszcze podać list jednej z uczennic, która bardzo przepraszam, że czynię to bez jej zgody. Niech mi wybaczy moją niedyskrecję. List ten odczytałem również obecnemu p. Kuratorowi Okręgu Szkolnego m. Łodzi i sprawiło mi wielką przyjemność, że znalazłem żywy oddźwięk dla treści tego listu.

List przytaczam nie po to, aby kogoś oskarżać, bo to robić najłatwiej, nie dlatego, abym nie znał zasady — niech będą wysłuchane dwie strony i nie wiedział o tym, że krzywdy, które komuś przez długi czas wyrządzają świadomie, czy nieświadomie sprawiają to, że człowiek taki patrzy na cały świat przez ciemne okulary. Chodzi o to, aby się zastanowić nad całym problemem, aby choć trochę o nim pomyśleć i coś zmienić. A oto list.

„Mój stan psychiczny stale się pogarsza, ciągle jestem zdenerwowana, zła na wszystkich ludzi, mam słabą pamięć, staję się skryta, zamyślona, nieśmiała. Zaczęłam się jąkać, gdy byłam jeszcze mała, lecz to występowało w słabym stopniu. Mam nerwicę, leczyłam się u neurologa, lecz lekarstwa, które używałam nie wpłynęły na poprawę tego schorzenia, a myślę, że ma ono jakiś wpływ na moją mowę. Występują u mnie ciągłe stany podniecenia, lęku przed mową i śmiesznością i wtedy nie mogę wypowiedzieć ani słowa, czuję w gardle jakiś ucisk i dużo czasu musi upłynąć zanim wypowiem jakieś zdanie. Słuchając mnie ktoś sądzi, że albo nie słyszę, nie wiem, co odpowiedzieć albo nie jestem przygotowana do lekcji. Jest to przyczyna dużych komplikacji w szkole jak: obniżenie oceny, ośmieszenie itd. Nauczyciel w szkole często mówi do rodziców i do mnie, że nie biorę czynnego udziału w lekcji. Czy mogę się zgłaszać, kiedy klasa śmieje się, że się zacinam? Nierzadko na lekcji nauczyciel prosi, żeby ktoś przeczytał ładnie tekst, wtedy padają ironiczne propozycje, wywoływane jest moje nazwisko, czynione są jakieś dowcipne uwagi i docinki pod moim adresem. Dlatego też nie biorę udziału w różnych imprezach, zabawach, boję się po prostu, kiedy ktoś do mnie coś mówi. Z zazdrością patrzę na tych, którzy mogą płynnie mówić, którzy zachowują się bardzo swobodnie, śmieją się, cieszą się życiem. Zdaję sobie również sprawę z tego, że za rok będzie matura, której sobie nie wyobrażam. Inni uczą się, mają dobre oceny, a ja pomimo, że uczę się, nie należę do najlepszych. Na pierwszy okres w br. miałam niedostateczny stopień z języka polskiego, a przecież jest to przedmiot, w którym wielką rolę odgrywa wypowiedź ustna, szybkie i zwięzłe zreferowanie danego tematu, czego u mnie brak. Mam trudności z wymową trudniejszych wyrazów. Przed każdą lekcją bardzo się denerwuję i każda odpowiedź w pewnym stopniu przeżywam. Ten stan występuje nie tylko w szkole lecz wszędzie, gdzie przebywam i z kim rozmawiam. Nawet ojciec mój śmieje się ze mnie, z mojej mowy, przedrzeźnia ją. Ojciec denerwuje mnie, ma zupełnie inne poglądy na wszystko, określa moją pracę w szkole jako nic, mówi, że ja nie chcę się uczyć, ma pretensje do mnie, dlaczego mam takie słabe stopnie, dlaczego nie dostaję stypendium. Skutkiem tego żyję w ciągłym rozdrażnieniu, ciągle boli mnie głowa, a chociaż mam 16 lat, życie traci dla mnie swą wartość".

Sądzę, że wymowa tego listu jest bardzo stanowcza — dobroć okazywana wrażliwym jednostkom przez opiekunów może przyczynić się do przezwyciężenia dręczących postaci tremy.

informacje i zaczepki

Tym razem rzucamy kamyczek do własnego ogródka. „Odgłosy" nr 20 pisząc o teatrach studenckich twierdzą, że autorem sztuki „Świadkowie" albo „Mała stabilizacja" i kierownikiem literackim zespołu STEP z Gliwic jest... Stanisław Różewicz. Trochę wstyd, bo autorzy artykułu pomylili reżysera filmowego z wybitnym współczesnym poetą nawiasem mówiąc laureatem nagrody państwowej w dziedzinie literatury za rok 1962. Wypada znać.

●

Szkoła nr 127 w Łodzi nazwana została imieniem Ludwiki Wawrzyńskiej — warszawskiej nauczycielki, która przed ośmiu laty ratując dzieci z płonącej szkoły uległa śmiertelnym poparzeniom. O Ludwice Wawrzyńskiej piękny wiersz napisał wówczas Leopold Staff.

●

Rozstrzygnięto wreszcie konkurs na prace pod nazwą „Szkoła i ja — rzeczywistość i propozycje" zorganizowany przez redakcję „Życia Literackiego". Wśród 40 nagrodzonych z całej Polski znalazło się dwoje nauczycieli z naszego województwa. Są to — Teresa Lechowska z Piotrkowa i Józef Gomułka ze wsi Laski w pow. Pajęczno. Gratulujemy.

●

„Na szybkiej trasie Toruń — Poznań..." — przeczytaliśmy w „Dzienniku Łódzkim". Chodzi zapewne o to, że trasę pokonano szybko, ale podobna „metafora" to już duże ryzyko i policzek wymierzony stylistyce. No cóż, w czasie Wyścigu Pokoju śpieszą się również dziennikarze... i także ulegają kraksom.

●

Redakcja magazynu turystyczno - krajoznawczego „Światowid" widać upodobała sobie nasz region. Niedawno ukazał się numer pisma poświęcony w całości Łodzi, ostatni zaś numer poświęcono Ziemi Łódzkiej. Publikacja jest naprawdę pożyteczna — zaopatrzona w mapę, wykaz zabytków, schronisk, adresy biur turystycznych. Słowem otrzymaliśmy mały, przejrzysty przewodnik po Ziemi Łódzkiej.

Polecamy naszym czytelnikom interesującą wystawę Zygmunta Nirnsteina, który właśnie w tych dniach obchodzi 50-lecie pracy twórczej. Ekspozycja mieści się w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku Sienkiewicza.

●

Pisaliśmy w tej rubryce dwa tygodnie temu o obniżeniu się w Łodzi przyrostu naturalnego. Jak wynika ze sprawozdań Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa zmalała również w Łodzi wydatnie ilość sztucznych poronień. Samo Towarzystwo istniejące już pięć lat zwiększa systematycznie szeregi swych członków i dziś liczy już ponad 22 tysiące osób.

●

„2.000 telewizorów reperować będzie co miesiąc baza przy ul. Franciszkańskiej" — cieszy się „Express". A nam smutno. Cieszylibyśmy się gdyby zamiast rozbudowywać i usprawniać sieć napraw produkowano wreszcie dobre telewizory.

●

Aż trudno uwierzyć. Łódź, której wciąż wypomina się brak zieleni, miasto ze znikomą ilością skwerów już trzeci raz otrzymuje pierwszą ogólnokrajową nagrodę ministra gospodarki komunalnej za akcję zazieleniania i pielęgnację terenów zielonych. Nagrodę stanowi — otrzymany już na własność — sztandar przechodni oraz 55 tysięcy złotych. Gratulujemy.

●

Niedawno odbywało się w Łodzi przesłuchanie uczniów sekcji fortepianowych średnich szkół muzycznych kraju. Jak twierdzą pedagodzy przysłuchujący się występom poziom wykonań był wyższy niż w latach poprzednich, a w wielu wypadkach zdecydowanie przekraczał wymagania stosowane do uczniów średnich szkół muzycznych.

●

Pięciolecie urodzin obchodziła niedawno regionalna „Gazeta Ziemi Piotrkowskiej". Gazeta nie ogranicza się zresztą do regionu piotrkowskiego, ale zdobywa sobie też powiaty: bełchatowski, radomszczański a nawet dalekie Pajęczno. Nakład „Gazety Ziemi Piotrkowskiej" dochodzi ostatnio do 15 tysięcy egzemplarzy. „Odgłosy" życzą również dalszych pomyślnych lat pracy.

J. W.

FELIKS BĄBOL

Zdjęcia. Na jednym z nich grupa rozebranych wczasowiczów na kocach, pod zdjęciem podpis: „Na wczasach humor dopisuje...". Na innym — wnętrze kuchni i podpis: „Posiłki przyrządzane w kuchni domu wczasowego „Sonata" w Dusznikach są smaczne i zdrowe". Na trzecim wreszcie plaża w Mielnie, a pod zdjęciem: „Ach, jak przyjemnie, kołysać się wśród fal...".

Te zdjęcia można obejrzeć w broszurce pt. „Wczasy" wydanej przez Fundusz Wczasów Pracowniczych w Warszawie, w której przecież — niezależnie od wielu ciekawych informacji na temat organizacji, stanu posiadania i planów rozbudowy wczasowisk, nie ustrzeżono się i potknięć, jak choćby językowych, tanich, niewybrednych chwytów propagandowych. Ale w tej broszurce można wyczytać również i hasła. Jedno z nich brzmi: „Każdy związkowiec na wczasach".

Czy każdy?...

* * *

W poczekalni Biura Skierowań FWP w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej siedziała cicho i skromnie. Gdy usiadłem obok, zagadnęła mnie:

— Pan też po wczasy?

— Też.

— Bo ja tu już od 2 maja przychodzę dzień w dzień...

— I co? Nie może pani załatwić swej sprawy?

— Dają mi Czerniawę pod Świeradowem, ale dopiero po 15. Mam więc tyle czasu czekać?

— A od kiedy ma pani urlop?

— Już od pierwszego maja.

— To straciła pani już 10 dni na to czekanie. Nie szkoda pani urlopu?

— Szkoda, ale co mam zrobić? Już bym nawet nic na to nie mówiła, gdyby mi dali coś innego, a nie Czerniawę. Byłam tam w zeszłym roku, autobusem trzeba się wlec ze Świeradowa, a na miejscu kilka domów „na krzyż", więc nudy na pudy. To nie dla mnie...

— A nic innego nie mają dla pani?

— W tym okresie nie, chyba że pełnopłatne. A to mi się nie opłaca, wolę wydać jeszcze 100 czy 200 zł więcej i jechać z „Turystą" czy nawet „Orbisem"...

* * *

Tak. Okazuje się, że nie każdy związkowiec ma swoje miejsce na wczasach. Bo potrzeby są zbyt duże, hasło więc ze wspomnianej broszurki FWP zamieszczono chyba o kilka co najmniej lat za wcześnie. Potrzeby urlopowe związkowców zaspokajane są na razie w ten sposób: na 1000 członków związku w skali krajowej wyjechało na wczasy w 1961 roku tylko 132 pracowników budownictwa, tylko 168 pracowników przemysłu chemicznego, 100 pracowników gospodarki komunalnej, 84 pracowników handlu i spółdzielczości, 81 włókniarzy i 64 transportowców i drogowców. Liczby te obejmują wszystkie formy wczasów: FWP, zakładowe i tzw. zlecone, obejmują też łącznie pracowników umysłowych i fizycznych. Ale to sytuacja odnosząca się do całego kraju, zobaczymy jaka jest sytuacja wczasowa przeciętnego łodzianina związkowca...

* * *

W ub. roku z wczasów skorzystało około 40 tys. osób z Łodzi i województwa, a że stosunek miasta do województwa w tej dziedzinie kształtuje się jak 3 do 1, więc trzeba stwierdzić, że w ub. r. na wczasy wyjechało około 30 tys. łodzian i tylko około 10 tys. pracowników z przedsiębiorstw rozrzuconych po województwie.

Dużo to czy mało? Jeśli wziąć całe województwo, to się okaże, że w obecnej sytuacji organizacyjnej wczasów urlop przy pomocy FWP może spędzić co trzynasty pracownik, jeśli tylko Łódź — co dwunasty. Choć więc szanse są tu o wiele większe, niż te, które wynikają z rachunku prawdopodobieństwa w Totku czy „Kukułeczce" — trzeba mieć wiele szczęścia, aby być tym co trzynastym czy co dwunastym, na kogo „padnie" skierowanie.

Tego szczęścia będzie w najbliższej przyszłości coraz więcej (wielki rozmach budowy ośrodków wczasowych ze strony poszczególnych central związkowych, większych zakładów pracy itp.), ale i dziś już na tle obecnych możliwości organizacyjnych wypoczynku dla ludzi pracy ujawniły się dość ciekawe problemy, którymi zająć się warto. Niektóre z nich np. dotyczą odpowiedzi na takie dwa pytania:

— Dokąd jeżdżą łodzianie?

— Kiedy łodzianie wypoczywają?

* * *

Ze sprawą „dokąd" wiąże się i sprawa „kiedy". Okazuje się, że w ciągu długich 7 miesięcy (od października do kwietnia) wyjechało na wczasy tylko 9 tysięcy łodzian, a w okresie maj — wrzesień aż 31 tys. na 370 tys. związkowców. Bo nadal jeszcze panuje moda na urlop latem, dlatego też tylko szczęśliwcom udaje się w lipcu czy sierpniu zdobyć skierowanie, dlatego nadal od października do kwietnia domy FWP mają wielkie „luzy", wykazując stosunkowo największe koszty administracyjne (te same koszty stałe przy małej ilości wczasowiczów).

Oczywiście dzieje się tak dlatego, że współczesna wiedza o racjonalnej organizacji wypoczynku, że nakazy higieny psychicznej nie pomagają jeszcze radom zakładowym w zwalczaniu tradycji, że w dalszym ciągu błądzimy, szkodząc sobie i swemu zdrowiu, odkładając urlop wyłącznie do lata i odpoczywając tylko raz w roku.

* * *

Sprawa ta szczególnie w Łodzi ma osobliwe znaczenie. Jak stwierdził niedawno w pewnym wywiadzie prasowym kierownik katedry Me-

Łódź, w jakiej żyjemy

WSZYSTKIE NASZE WCZASOWE SPRAWY

Dalszy ciąg na str. 10

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

NIE MA POWROTU

STRESZCZENIE

Poznaliśmy już przeżycia Justyna, jednego z głównych bohaterów powieści. Lecz Justyn posiada przyjaciela, którego nazywają Socjalistą, ponieważ kiedyś przeczytał dwie strony z Marksa. Socjalista także opuścił miasto rodzinne lękając się aresztowania, Justyn trafił do opustoszałego dworu, on zaś rozpoczyna właśnie karierę jako nauczyciel tajnego gimnazjum. Uczy młodzież chłopską. Czy zdoła zyskać jej zaufanie? Czy los pozwoli mu spokojnie pracować? Moglibyśmy tego rodzaju pytania mnożyć w nieskończoność — nasz drugi bohater może zginąć, lub zostać kaleką, może dotrwa szczęśliwie końca wojny, a może nie. Nie o to nam jednak chodzi. Jak się zachowywało pokolenie Socjalisty podczas okupacji, jak rozumiało swoją rolę, co w końcu przeżyło w sensie najistotniejszym dla każdego człowieka — na te pytania, być może, znajdziecie odpowiedź.

Socjalista milczał. Sztacheta spadała bez przerwy na nogę. Tępy, głuchy ból przenikał ciało. W drzwiach pokoju zatrzymał się wójt. Rozbiegane nerwowo oczy, gęsty pot na czole zdradzały wewnętrzną walkę. Wójt wahał się przez chwilę, nalał sobie szklaneczkę wódki i wypił jednym łykiem.

— Co panowie robią? — zwrócił się do Ryżego Julka.

Żandarm wsunął sztachetę pod pachę i przyglądał się ciekawie wójtowi.

— Badamy tego bandytę.

— To nie jest bandyta, tylko tłumacz w naszej gminie. Będę musiał złożyć skargę do pana Hauptmana, pobiliście człowieka, który lojalnie współpracuje.

Ryży Julek przetłumaczył słowa wójta. Żandarmi speszyli się trochę. Hauptman był dziwnym człowiekiem. Owszem, pozwalał bić ludzi, bo to dobry środek wychowawczy, choć wolał zabijać. Ale żądał dowodów winy. Dowody, przedstawione na papierze, zyskiwały rangę zasług, zasługi zmieniały się w awanse i ordery. Ryży Julek nie ustępował.

— Są dowody, kapral widział, uciekali uzbrojeni bandyci, a ten wasz tłumacz odwracał naszą uwagę. Pan uważa, że żołnierz niemiecki kłamie?

Wójt miał jednak w ręku mocne atuty. Za jego wiedzą żandarmi rozkradali, masło, jaja, mięso i inne dobra, bez których armia nie mogłaby zwyciężać na wszystkich frontach. Część tych dóbr rozmaitymi okazjami wędrowała do rodzin. Pan Hauptman także zaopatrywał się u wójta. A wójt miał bardzo dobrą opinię u władz.

— Uciekali chłopi, panie sierżancie, tu nie ma żadnych uzbrojonych ludzi.. Chłopi bali się was, bo pijecie i bijecie. W mojej gminie jest zawsze spokojnie, działa tylko oberbandyta Wołga, ale przeważnie nie u mnie.

Ryży Julek skapitulował. Jeżeli tak jest, to lepiej będzie dać spokój. Wójtowi wyraźnie zależy na tym człowieku, dobrze zapłaci w naturze za swojego tłumacza.

— W porządku, zaszła pomyłka — podszedł do Socjalisty i podarował mu paczkę niemieckich papierosów. Żandarm cisnął sztachetę w kąt i podarował mu drugą. Żandarmi wyszli, Socjalista siedział bezradnie na ławie, w rękach trzymał niemieckie papierosy. Wójt napełnił szklanki wódką, którą żandarmi wspaniałomyślnie pozostawili.

— Niech się pan profesor napije, to wzmacnia, po takim przeżyciu. Udało mi się. Wczoraj zabili człowieka w Miodowych Wzgórzach, sztachetami, oni teraz bardzo lubią sztachety. Trzy razy wstawał, ale nie mógł, męczył się strasznie. Dobija zawsze Ryży Julek, on ma jeszcze trochę litości. Mam nadzieję, że pan profesor weźmie pod uwagę...

Pokój wypełnili uzbrojeni licealiści. Dwaj plutonowi z aka, Zakrzewski i Książę Józef potrząsali pistoletami, Dyszel z aelu karabinem, Kosiarz dowódca plutonu becha był uzbrojony w szkolny automat.

— Nic panu nie jest?

Socjalista spojrzał w oczy Kosiarza, ale nie dostrzegł w nich współczucia.

— Widzisz przecież, kretynie, że zlali pana profesora sztachetami i to przez ciebie. Generał dupa, a nie plutonowy — Dyszel pochylił się nad Socjalistą.

Zakrzewski wsunął pistolet do kieszeni.

— Ciekawe! Masz rację, w żadnym wojsku nie zrobiliby takiego posunięcia jak my.

Kosiarz próbował odparować zarzuty.

— Pan profesor sam rozumie, musieliśmy śledzić co ten szkop zamierza zrobić, ale z drugiej strony drogi, z tej się nie dało, topografia terenu głupia, same sztachety, a po drugiej stronie rów... myślałem, że smykniemy szybko i nikt nie zauważy, ale musieliśmy mieć złe wyliczenie... potem wójt dostał w mordę i przyszedł ratować, jakby jeszcze raz uderzyli pana profesora, zrobilibyśmy jatki wieprzowe...

Socjalista chwytał jeszcze poszczególne słowa i zapadał powoli w inny świat.

Dyszel obejmował Socjalistę.

— Chrzanisz, aż przykro słuchać! Było inaczej. Kosiarz narobił krzyku, że dookoła żandarmi, a pan profesor złapany. Daliśmy nogę ze strachu, a nie żadne śledzenie, Kosiarz zwiewał pierwszy. Zakrzewski zorientował się od razu, że pan profesor chciał ratować klasę, a my gówno wiedzieliśmy, jak pana ratować. Można było strzelać, ale jutro byłoby po Kosieradach. Malwa wpadła na pomysł z wójtem, ona ma głowę...

Kosiarz roztrącił grupkę licealistów i stanął twarzą w twarz z Dyszlem.

— Odszczekaj te słowa przy profesorze, chcesz mnie skompromitować, co?

Zakrzewski odepchnął Kosiarza.

— Uspokój się, gówniarzu! Uciekaliśmy, to się zgadza. Odpowiadasz dziś za ubezpieczenie, tak czy nie? Gdzie było ubezpieczenie, dlaczego nie sprawdziłeś? U nas, w aka, takiego żłoba nikt by nie zrobił plutonowym. Polityk, kurwa mać, a profesora zlali.

Upiłem się i boli mnie serce — przyszło na myśl Socjaliście. Ktoś zawiesił izbę Drzymka Bogatki na wiejskiej karuzeli, drewniana oś skrzypiała przeraźliwie. Poszedłem gdzieś daleko i boli mnie noga, trafiłem do obcego świata i nie rozumiem ludzi.

— O czym to mówiliśmy na ostatniej lekcji? — zapytał.

Ucichł jeszcze krzyk Malwy i zapadł w drugą rzeczywistość. Jeżeli nawet uda się komuś powrócić stamtąd, nie umie powiedzieć, co widział.

* * *

— Mój ty Jezusicku, taki młody, tyla się narobił, nastarol, żeby tym cholernym wojokom oleju do głowy nalać i teraz bez nogi, robił, robił, aż się dorobił! Zlitujta się święci pańscy — zawodziła żona Filozofa.

Socjalista podniósł się na łóżku i nadsłuchiwał.

— Dużo mu tam pomogą, święci byli a pierdzili, ojczyzna płaci przeważnie w niebie — usłyszał głęboki bas Filozofa. Po nim starczy głos Kościelnego.

— Powidzcie mi kumie, takom obciętom nogę na cmentarzu się chowa, czy daje się świniakom, teraz o śrutę trudno, a świnia żre wszystko.

— W pustym chlewiku nic nie zdechnie. Mnie tam ostatniego warchlaka skopy zabrały. Z ciebie jest świ-

Dalszy ciąg na str. 10

Wszystkie nasze wczasowe sprawy

Dalszy ciąg ze str. 9

teorologii, Klimatologii i Hydrografii UŁ, prof. Stanisław Zych — „największe zadymienie Łodzi jest jesienią i zimą, powietrze bowiem zanieczyszcza się wtedy w większym stopniu niż kiedy indziej gazami toksycznymi, w rezultacie występuje nasilenie schorzeń górnych dróg oddechowych, oczu, skóry, krażenia i nawet nowotworowych".

Wniosek stąd płynąłby dla łodzian następujący: warto wyjeżdżać z tego zadymionego miasta na urlop również jesienią, zimą i na wiosnę. A tymczasem, jak wskazują cyfry, trzy czwarte skierowań wczasowych wykorzystuje się w miesiącach letnich, a od roku 1956 liczba tych, którzy „zmądrzeli" i którzy odpoczywać „nauczyli się" również jesienią czy zi-

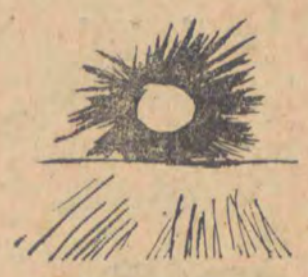

mą, wzrosła jedynie o 1500. Może by więc szerzej rozpropagować prawdę o złym wpływie łódzkiego powietrza w okresie jesień — wiosna?

* * *

Wydaje się, że sprawa przedłużenia sezonu morskiego choćby do października jest nie tak trudna do załatwienia. FWP jest przygotowany do takiej operacji — gdyby jeszcze w fabrykach pomyślano o propagandzie wczasów nadmorskich nie tylko w czerwcu i lipcu czy sierpniu ale również w kwietniu, maju czy wrześniu lub październiku — możliwości wczasów nadmorskich dla łodzian zwiększyłyby się o kilka tysięcy miejsc rocznie. Nieśmiałe próby w tym kierunku łodzianie już czynią: w ub. roku we wrześniu (wbrew tradycjom!) urlop nad morzem i na jeziorach spędziło 750 wczasowiczów.

Oczywiście sprawy nie załatwimy bez pomocy łódzkiego przemysłu. Tak się już dzieje, że większość dużych fabryk organizuje postoje urlopowe właśnie tylko latem. Ulegają przy tym naciskom ze strony załóg, to inna rzecz (matki bowiem chcą spędzić z dziećmi urlop w czasie wakacyjnej przerwy w szkole), ale przecież w rezultacie tych masowych postojów letnich rodzi się nacisk inny — na Biuro Skierowań Wczasowych FWP, które absolutnie nie jest w stanie podołać zamówieniu społecznemu, nie może latem wysłać na wczasy tych wszystkich, którzy pragnęliby z nich skorzystać.

— Normalnie — mówił mi kierownik Biura, Franciszek Juroszek — w okresie czerwiec — sierpień otrzymujemy około 7 tys. skierowań miesięcznie, gdybym miał jednak nie 7 a 20 tysięcy skierowań, to i tak ledwo by starczyło.

W innych miesiącach zaś dochodzi do tego, że skierowania przydzielone Łodzi trzeba zwracać, bo nie ma chętnych. Winna jest więc zła organizacja postojów urlopowych w łódzkim przemyśle i słaba propaganda na rzecz wczasów w miesiącach pozornie mało atrakcyjnych a przecież jakże istotnych dla zdrowia ludzi pracujących i żyjących w tym mieście. Z tych źródeł płynie również inne ujemne zjawisko — niewielki udział robotników we wczasach.

* * *

W skali kraju co prawda wyszliśmy już z „dna" pod tym względem: w 1958 r. wśród wczasowiczów było tylko 11 proc. robotników — ale i obecnie udział pracowników fizycznych we wczasach nie jest za wysoki (około 40 proc.). W Łodzi i województwie sytuacja wygląda jeszcze inaczej: na 368 tys. robotników wyjechało na wczasy w ub. roku tylko 12.101 osób, co się równa 34,5 proc., ale że ci robotnicy stanowią aż 67,5 procent ogółu uprawnionych do wczasów, więc i udział ich we wczasach powinien wynosić nie 34,5 proc., a 67,5 proc. czyli ponad 23 tys. osób.

Możliwości jednak zwiększenia udziału robotników we wczasach są realne — przecież 80 proc. wszystkich robotników wyjechało do domów FWP w okresie od czerwca do września, gdyby więc w fabrykach zakrzątnać się wokół propagandy opar-

tej o ocenę prof. Zycha rychło liczba robotników łódzkich korzystających z wczasów zwiększyłaby się znacznie.

* * *

Jeśli na wczasy związkowe rocznie wyjeżdża około 40 tys. łodzian, to drugie tyle korzysta z organizacji urlopu przy pomocy „Gromady", „Turysty" czy „Orbisu. Wczasy wymienionych instytucji są droższe, ale w sytuacji 700-tysięcznego miasta i one spełniają pożyteczną rolę niezależnie od faktu, że instytucje te kalkulują ceny wczasów zgodnie z prawem wartości (od 70 do 120 zł) i że do każdego wczasowicza wyjeżdżającego na urlop poprzez FWP i związki nasze państwo dopłaca około 500 złotych.

Instytucje te więc nie załatwiają problemu urlopu dla ludzi gorzej sytuowanych, a tym bardziej — dla matek — robotnic obarczonych dziećmi. Zresztą sytuacja kobiety w tej dziedzinie jest o wiele gorsza niż w innych ośrodkach. W ub. roku skorzystało np. z wczasów rodzinnych około 9 tys. kobiet, a doświadczenie uczy, że i dwa razy więcej skierowań nie załatwiłoby jeszcze potrzeb tego miasta.

Wydaje się też, że pewne wnioski z sytuacji panującej w Łodzi powinni wyciągnąć ci, którzy planują przydziały skierowań wczasowych dla poszczególnych ośrodków w kraju. Bo w Łodzi, jak wiemy, w porównaniu z resztą kraju pracuje najwięcej kobiet, fakt ten jednak nie znajduje odbicia w przydziałach wczasów rodzinnych dla naszego miasta. Otrzymujemy je proporcjonalnie do ilości związkowców, bez uwzględnienia wyjątkowej specyfiki Łodzi i wyjątkowej sytuacji łodzianki pracującej. Zdarza się więc, że ośrodki o dużo mniejszym procencie pracujących kobiet (np. Rzeszów) otrzymują tyle skierowań na wczasy rodzinne dla matki z dzieckiem ,że nie wiedzą potem co z nimi zrobić. Dostały w proporcji do ogólnej ilości członków związków zawodowych, ale ta proporcja nic tu nie mówi.

Podobnie pilną sprawą jest propaganda w Łodzi i województwie wypoczynku świątecznego. Jak dotąd bowiem w Sulejowie nad Pilicą, w Spale czy w innych podłódzkich miejscowościach idealnie służących idei wczasów świątecznych i niedzielnych — najczęściej spotkać można samochody ze znakami rejestracyjnymi Warszawy, łódzkich samochodów w tych miejscowościach najmniej. Kochamy wszyscy warszawiaków, na objawy jednak niedoceniania przez łodzian pięknych ośrodków i campingów podłódzkich aż przykro patrzeć...

FELIKS BĄBOL

KTO ILE DOSTAJE

Jak przedstawia się miejsce poszczególnych związków zawodowych w ogólnej puli przydziałów skierowań wczasowych? Jak wyglądają szanse członków poszczególnych związków? (Dane za 1962 r.)

Związek	Ilość członków	Ilość skierowań	%
Włókniarze	177.186	12.277	6,2
Hutnicy	157	40	25,4
Poligraficy	3.633	477	13,1
Energetycy	4.869	420	8,6
Metalowcy	35.297	2.159	6,1
Górnicy	4.996	139	2,7
Chemicy	32.337	1.283	3,9
Prac. komunalni	44.219	2.118	4,7
Spożyw i Cukrown.	17.301	903	5,2
Budowlani	32.407	1.279	3,9
Przem. Leśny i Drz.	11.925	326	2,7
Rolni	14.950	388	2,5

ROBOTNICY NA WCZASACH
(Łódź i województwo — rok 1962)

Związek	Ilość robotników	Ilość skierowań	%
Włókniarze	156.453	7.466	4,9
Budowlani	26.140	356	1,4
Metalowcy	27.061	1.000	3,7
Chemicy	25.643	415	1,6
Handl. i Spółdz.	19.065	348	1,7

Jak z tych kilku przykładów wynika — najmniejsze szanse na otrzymanie skierowań na wczasy mają robotnicy — członkowie Związku Budowlanych, w najlepszej stosunkowo sytuacji znajdują się robotnicy należący do Związku Włókniarzy — w ub. roku mógł wyjechać na wczasy prawie każdy co dwudziesty członek tego Związku — robotnik. W budownictwie zaś — co siedemdziesiąty...

KIEDY JADĄ NA WCZASY?

Oto zestawienie kilku Związków oraz dane dotyczące wykorzystania skierowań na wczasy w tradycyjnych miesiącach urlopowych tzn. w lipcu i sierpniu (rok 1962)

Związek	Skierowań na lipiec i sierpień	%
Włókniarze	4.677	40
Chemicy	496	40
Energetycy	116	25
Poligraficy	172	32
Budowlani	429	34
Handl. i Spółdz.	995	24

Najracjonalniej i najrozsądniej wykorzystują więc urlopy pracownicy energetyki i handlu — w ciągu dwóch miesięcy wykorzystują zaledwie czwartą część wszystkich skierowań, włókniarze zaś — o czym mowa w artykule — aż dwie piąte...

CO w terenie?

Jak już podawaliśmy, w wyniku porozumienia między Zarz. Woj. PUPiK „Ruch", a Wydz. Kultury Prez. WRN — na terenie naszego województwa powstają pierwsze w kraju wiejskie Kluby Książki i Prasy. Pierwszy taki Klub otwarto 19 maja (z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy) w Dąbrowicach pow. Kutno. Dąbrowiczanie otrzymali nowocześnie i estetycznie urządzony lokal, w którym będą mogli poczytać i kupić prasę oraz nowości wydawnicze, wypić dobrą kawę lub obejrzeć wystawę współczesnego malarstwa.

*

Oryginalnym akcentem zaznaczyły się w Konstantynowie tegoroczne obchody Dni Oświaty, Książki i Prasy. 21 maja ulicami miasta przeciągnął barwny korowód młodzieży... przebranej w kostiumy swoich ulubionych bohaterów książkowych. Nie obyło się oczywiście bez Kmicica, Zbyszka z Bogdańca, no i Śpiącej Królewny...

*

W ostatnią niedzielę maja odbywał się w Sulejowie n/Pilicą wielki Festyn Książki, przygotowany przez Wydział Propagandy KW ZMS i KŁ ZMS. W trakcie Festynu odbywały się półfinały i finał Turnieju Czytelniczego ogłoszonego przez KC ZMS i „Iskry", występowały młodzieżowe zespoły artystyczne Łodzi i województwa, a „Dom Książki" przygotował kiermasz nowości wydawniczych, w których wzięli udział łódzcy i warszawscy pisarze.

*

Na uroczystości DNIA DZIAŁACZA KULTURY, która odbyła się 19 maja w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej nagrodzono 117 działaczy z terenu województwa. Ponadto, 18 osobom wręczono odznaki ZASŁUŻONEGO DZIAŁACZA KULTURY.

Dalszy ciąg ze str. 9

nia, mam teraz miejsce w chlewie, mogę cię zamknąć. Jakby to tobie nogę obrzynali śpiewałbyś inaczej.

Któż to chce zamknąć w chlewie Kościelnego zamiast nogi? Socjalista nie mógł rozpoznać głosu przez zamknięte drzwi. Pewnie Filozof, albo Bogatka, mają podobne głosy.

— Na poświęconej ziemi kłaść samiutką nogę? W trumnie, czy jak? Przecie nie może być tak, teroz je wojna, ile rąk i nóg zostaje na polach? Ciało liczy się z duszą, nima duszy w nodze.

Skrzypnęły drzwi wejściowe.

— Jak się masz, Kuternoga — Filozof powitał gościa.

— Mam się, mam, skowronki mi pole zgnojom, bo nawozów nie ma, żytko urośnie żabie po uszy, ja zbiorę, a śkopy wezmą, tak to się plęcie.

— Nie zdążom, Ruski już pukają przez Wisłę, najecie się swojego, aby raz!

Najświeższe wiadomości z frontów wojny, nie tyle prawdziwe, ile bardzo krzepiące, przynosił zawsze Kościelny. Brał je od wikarego, wikary od proboszcza, proboszcz od księdza kanonika z Ostachowa, skąd brał je kanonik, nie wiadomo.

Socjalista nauczył się już rozpoznawać głosy. Podsłuchiwanie stanowiło teraz jedyną drogę powrotu do świata. Jeszcze przed tygodniem majaczył, tracił przytomność na długie godziny, teraz zaś — jeżeli tylko ból nie odbierał mu zdolności rozumienia ludzkiej mowy — wchodził w świat Drzymków przez zamknięte drzwi.

— Za Wisłą dają chłopom ziemię, znaczy się reforma, prawdę mówię, Peczynoga z Piasków na własne oczy widział. Skopy go wzięły z podwodą za Wisłę, potem go Ruski zagarnęły, będzie już trzy dni, jak stamtąd smyrnął przez rzekę, a teroz w domu siedzi i rachuje ile dostanie po hrabinie Wyszohorskiej.

Socjalista przymknął oczy, ból powracał znowu.

— Powiedz takiemu, co siano żre, zawsze się lepsi od nas znajdą. Po każdej wojnie jest za dużo zasłużonych, sam nie będziesz wiedział, gdzie się hektarki podziały.

To Kościelny zgłaszał swoje wątpliwości.

— Zależy od rządów. Jak są sprawiedliwe każdy swoje dostanie, nawet ty, chociaż taki z ciebie gospodarz jak z koziej dupy trąbka.

Poznał bez trudu głos Filozofa. Ból zdawał się przemijać. Podniósł głowę. Czerwona kropla oliwy płonęła przed obrazem Marii, niżej, na komodzie, milczały papierowe kwiaty, za ścianą stukał monotonnie szewc. Miał już za sobą ciężkie dni, kiedy żył na pograniczu dwóch fantastycznych światów, zapadał w ciężki sen i widział dziesiątki postaci, budził się zlany potem i widział je znowu. Które były prawdziwe? Znikąd, z pustki absolutnej, wyskakiwał nagle Justyn z pistoletem w ręce, „nie martw się, już ja tych skubańców dopadnę, oni muszą mieć gdzieś twoją zdrową nogę" — krzyczał. Stary matematyk groził chudym, zakrzywionym palcem — „już ja wiem, że ty nic nie umiesz, prostoty ewangeliczna, od sąsiada wszystko ściągasz, byku jeden, za co ja ci dałem maturę, przyznaj się, powiedz prawdę, za co?". Przychodziła i Malwa, może zresztą przychodziła naprawdę? Kosiarza widywał nocami, zamykał w granacie czyjąś złą duszę, granat wybuchał i rozrywał nogę. Filozof pił bimber, zapijał natychmiast wodą, podpierał się patykiem, na który zatknął słońce i mówił syczącym głosem po niemiecku: „ach, du polnischer Verbrecher!". Ksiądz proboszcz zalecał miłość do każdego człowieka, Sosna chodził na rękach, żona Filozofa wisiała w ramce na ścianie, trzymała w ręku dymiący garnek jak relikwię i powtarzała: „niech się profesor napije czerwonego barszczu, barszcz daje krew i gorącość". Wszystko, co Socjalista przeżywał, wydawało mu się rzeczywiste, ale istniało w jakimś innym wymiarze, poza dusznym pokojem paradnym Drzymków, w świecie bez miejsca. Zdarzało się, że patrzył przytomnie na nogę okręconą bandażami, czuł miły zapach zgnilizny i mówił zrezygnowany: „zabierzcie ją stąd, tyle razy prosiłem. czemu jej nie wywozicie do Reichu?".

Ocknął się. Ktoś pukał do drzwi.

— Proszę — powiedział.

Lemiesz przyprowadził nieznajomego człowieka. W kącie pod oknem przystanęła nieśmiało Malwa.

— Pan przyszedł po moją nogę?

Nieznajomy postawił walizeczkę na stole.

— To trzeba koniecznie powiedzieć inaczej. Do pana chorej nogi przyszedłem, jestem felczer Abram z Ostachowa. Chociaż co ja do pana mówię, ja już nie jestem z Ostachowa, sam nie wiem skąd ja jestem.

Otworzył walizeczkę. Socjalista śledził każdy ruch felczera. Zaraz pewnie wyciągnie jakieś noże, albo piłę. Na stole pojawiła się spirytusowa maszynka, nożyczki, lancety, zwykła brzytwa, flaszeczki pełne kolorowych płynów, wreszcie zapachniały zioła.

— Każdy potrzebuje w coś wierzyć, w cybalgynę, aspirynę, maszcze szwientego Franciszka, a ja w żoła z tego lasu pod Ostachowem. Tylko w ten szwiat to ja nie bardzo wierzę.

Lemiesz żachnął się.

— Ależ panie Abram, pan się powinien cieszyć, wojna dobiega końca, urządzi się pan od nowa, na pewno już nie w suterenie pod restauracją.

Abram podniósł głowę znad walizeczki.

— To wcale nie było takie złe, oni sze tam bili po pyskach, mnie sze nigdy nie zdarzyło szukać dobrych klijentów, sami potrzebowali przychodżyć, oj, jak oni mnie potrzebowali! Pijany dobrze płaczi.

— Po wojnie też będą pili.

— Mnie jusz nie obchodzi to pana „po wojnie". Życie sze nie wraca, ja za dużo potrzebuje, żeby ono sze mogło wrócicz. Może pan profesor powie, że mnie żonę i dżeci w czołgu przywiozą, co? Ja będę po wojnie ostatni Żyd w powieczie, ja już jestem ostatni. Czy to sze opłaca? Ja bym teraz bardzo potrzebował zapałki.

Malwa podeszła do stołu.

— Pana Abrama wszyscy kochają, pan przywraca ludziom życie.

Felczer zapalił maszynkę spirytusową i grzał wodę w garnku.

— Jak panienka tak bardzo chce, to ja panience powiem: Żyda sze tutaj nie kocha, tylko potrzebuje. Mnie kochał Dancygier. Jak ja koło jego jatki chodżyłem, to sobie bardzo przyjemnie pogadaliszmy. On sze mnie pytał: w kogo, Abramku, wmówiłeś te twoje głupie żoła? Ja sze też pytałem: a ty, Moryc, kogo głupiego powiedżałeś, że twoja konina jest wołowa? Jusz sze nie ma kogo pytać, Moryc szedzi sobie w niebie. Jak sze czuje pana noga?

Socjalista odsunął koc.

— Chyba lepiej.

Abram zabrał się do odwijania bandaża. Socjalista poczuł najpierw swędzenie, potem ostry zapach zgnilizny i lekki ból.

— To pan porucznik nie ma jusz gdże patrzecz? Taką ładną panienkę trzeba oglądacz, a nie zwykłą nogę.

Ręce Abrama, smukłe i delikatne, zrywały ostrożnie bandaż, czerwony od krwi i żółty od ropy, ból rósł nieustannie. Socjalista zdążył jeszcze uświadomić sobie niezwykły fakt — Abram mianował go porucznikiem, nie słyszał już jednak narzekań felczera.

— Aj, aj, ja sze pytam, po co tu jestem? Pan porucznik Wołga, powinien zostawicz starego Żyda w w spokoju, ja nic nie mogę zrobić, nie jestem cadyk, to jest umarła noga! Jak ja bym był cudotwórca, to bym sobie najpierw żonę i dżeci zmartwychwstał, a później tę nogę.

Malwa wróciła do okna i ukryła twarz w dłoniach. Lemiesz palił nerwowo papierosa za papierosem. Abram przemywał ziołami nieświeże mięso nogi, zakładał sączki i warzył nowe zioła w garnku.

d. c. n.

Wszystko zależy od inwencji

Chciałbym posiadać pamięć fenomenalną. Po co? Nowe hobby? — Ot, po prostu pragnąłbym kiedyś zająć się dokładnym opracowaniem typów schematu na audycję publicystyczną, a do tego potrzeba by było, niestety zapamiętać te wszystkie odkrywcze myśli komentarzy, sposoby przeprowadzania wywiadów, i tak dalej, i tak dalej: zapamiętać to wszystko, co czyni z publicystyki telewizyjnej niestrawny zakalec.

Lecz chociaż nie grzeszę fenomenalną pamięcią, ani też nie posiadam w jej zastępstwie nawet zwykłego magnetofonu, śmiem twierdzić, że nie doliczyłbym się wielu takich typów. Pomimo swoich lat, telewizja nie dorobiła się ich różnorodności, toteż praca nad poklasyfikowaniem schematów publicystycznych nie zajęłaby wiele czasu.

Ale moje — subiektywne — i pesymistyczne po trosze, a po trosze nostalgiczne nastroje, nie zmienią w niczym faktu obiektywnego: — publicystyka stanowiła od początków istnienia telewizji jej podstawowy trzon, jej elementarny fundament, i publicystyka jest też owym generalnym sprawdzianem tego, czy rozwój telewizji postępuje prawidłowo. „Pokaż mi swoje audycje publicystyczne, a powiem, jaką jesteś telewizją" — hasłomania jakoś do tej pory ominęła tę czcigodną muzę stąd więc — moja propozycja.

W polskiej publicystyce telewizyjnej można wyraźnie rozróżnić dwa okresy. Pierwszy — rozkwitu i renesansu, drugi — silnego kryzysu. W tej chwili, ten drugi okres jakby zaczął przeżywać przesilenie, powolutku co prawda, opornie, ale mija, w każdym razie pozycje przygotowywane przez Łódzki Ośrodek Telewizyjny świecą jaśniejszym blaskiem. Sądzę że poprawna publicystyka Łodzi przestała już nosić cechy przypadkowości, gdyż w okresie ostatnich czterech miesięcy wszystkie audycje publicystyczne emitowane przez ŁOT, stały na wyrównanym poziomie, stanowią konsekwencję rzetelnej pracy i poszukiwania nowych rozwiązań. Chociaż zauważyć jeszcze można pewne skrępowanie, pewną ociężałość, to jednak nie wolno odmawiać im — konfrontując z publicystyka pokazywaną przez Katowice, Poznań i nawet Warszawę — wielu poważnych zalet.

Przede wszystkim publicystyka łódzka jest publicystyką dużego formatu: porusza się z reguły w kręgach spraw naczelnych i generalnych. A jednocześnie — trudnych. Problemy gospodarcze, blaski i cienie wielkiej budowy — inaczej tak zwane (i pogardzane) produkcyjniaki. Przypomnę tu choćby „Działoszyn czeka..." oraz ostatnią pozycję ŁOT-u: „Brunatny skarb", poświęconą największej inwestycji w Polsce, Zagłębiu Bełchatowskiemu. Realizatorsko wykonana bez zarzutu (jedynie w sekwencji filmowej autentyczne wypowiedzi mieszkańców powiatu bełchatowskiego były wyraźnie opóźnione w stosunku do obrazu, co nie jest wszakże tak wielkim grzechem). Bardzo dobre zdjęcia filmowe.

Dyskretny i umiarkowany komentarz, ciekawe nagrania opinii mieszkańców o bełchatowskiej budowie, złożyły się na interesującą poznawczo część pierwszą audycji. Druga część audycji była rzędu informującego: co to jest Zagłębie Bełchatowskie i czego się po nim spodziewamy. Redaktor Chyliński, który przeprowadzał rozmowy z generalnym projektantem, inwestorem oraz przedstawicielami Wojewódzkiej Rady Narodowej, szczęśliwie uniknął przyjętego już powszechnie w podobnych sytuacjach szablonu wywiadu. Była to raczej swobodna wymiana zdań, nieskrępowana ciasnymi pytaniami, — i może więc dlatego, ta rozmowa przedstawicieli budowy bełchatowskiej przebiegała dynamicznie, nie sprawiając przy tym wrażenia wyuczonej na pamięć lekcji pokazowej.

Publicystyka łódzkiego ośrodka udowadnia wszystkim sceptykom (ze mną włącznie), że nie ma tematów niemożliwych do telewizyjnego zaadaptowania, wszystko po prostu zależy od inwencji autorów. „Po prostu" — niefrasobliwe słówko, o które rozbiło się już tyle audycji publicystycznych.

KOWALSKI

Młoda aktorka niemiecka: Renate SCHWEBS w telewizyjnym filmie kryminalnym

TEATR POPULARNY:

„ALKAD z ZALAMEI"

Dramat hiszpański XVII wieku zapisał się złotymi zgłoskami w historii tego rodzaju literackiego. Błyszczą tu szczególnie dwa nazwiska Lope de Vegi i Calderona. Bardziej swobodnej, naturalnej twórczości Lope de Vegi przeciwstawia Calderon wzniosłość tonu i doskonalsze opanowanie rzemiosła. Podczas gdy pierwszy koncentruje swe zainteresowania na miłości, drugi zajmuje się honorem. Szczyt popularności Calderona przypada na okres romantyzmu. Obecnie zaś odsunięty w cień wydaje się ustępować popularnością swemu wielkiemu poprzednikowi. Tym lepiej chyba się stało, że Teatr Popularny przypomniał właśnie Calderona zamiast dość „ogranego" u nas Lope de Vegi. Sięgnięto jednakże po dramat, który najbardziej zbliża obu wielkich autorów. Calderon swego „Alkada z Zalamei" oparł na napisanej kilkadziesiąt lat wcześniej sztuce Lope de Vegi pod tym samym zresztą tytułem. Stąd wniosek, że tym razem Teatr Popularny upiekł dwie pieczenie przy jednym ogniu. Zaprezentowano właściwie i Calderona i Lope de Vegę, a więc dramat hiszpański XVII wieku. Czy wyszło to spektaklowi na dobre? Moim zdaniem tak. Co do wyboru ostatniej premiery Teatru Popularnego nikt nie może więc mieć pretensji. Trafność wyboru podkreśla jeszcze fakt, że „Alkad z Zalamei" jest jednym z najbardziej udanych dramatów Calderona. Problem tu poruszany — obrona honoru (a w tym wypadku właściwie godności osobistej) jest najbardziej znamienny dla dramatu tamtej doby. Nie tylko w Hiszpanii, ale i we Francji, że przypomnę tutaj chociażby „Cyda". Stąd jeszcze jedno uogólnienie — pokazano sztukę charakterystyczną dla dramatu XVII w. W ten sposób wypełniono poważną lukę w repertuarze Teatru Popularnego. Z kolei wypada się zastanowić nad tym, czy adaptację telewizyjną „Alkada" można uznać za jedną z najlepszych premier Teatru Popularnego. Jerzy Antczak potrafił przenieść do swego spektaklu to, co było najistotniejsze w tym dramacie. Z całym pietyzmem uwypuklił główną postać wieśniaka Pedro Crespo. Wydobył tę charakterystyczną cechę dramatu tego okresu, jaką jest przemieszanie tragedii z wątkami komediowymi. Jednakże w tym miejscu nasuwają się wątpliwości. Czy nie lepsza dla spoistości dramatu byłaby rezygnacja z dwóch „donkichotowskich" postaci (granych przez Voita i Malawskiego)? Zalotnik Izabeli i jego sługa nie mają przecież najmniejszego wpływu na akcję sztuki. Ten wątek stanowi swego rodzaju intermedium w dramacie, z którego, moim zdaniem, można było zrezygnować na korzyść zwięzłości przedstawienia. Koncepcji Antczaka broni tutaj wierność dla autora, tym niemniej wydaje mi się, że sprawa jest dyskusyjna. Jeśli chodzi o reżyserię, to można o niej mówić (jak zwykle po każdym przedstawieniu Antczaka) tylko w superlatywach. Niewielu mamy reżyserów potrafiących doskonale pokazać w telewizji utwory sprzed kilkuset lat. Większość prób wskrzeszenia na małym ekranie dramatów klasycznych jest, niestety, nieudana. Przeszkodą są i kostiumy, i styl, i scenografia, które mieszczą się w zasadzie tylko w konwencji teatralnej. Z tym większą przyjemnością notujemy (po niezbyt udanym przedstawieniu „Jak wam się podoba") ten sukces Teatru Popularnego. „Alkad z Zalamei" był spektaklem na wskroś telewizyjnym, o ile oczywiście przyjmiemy taryfę ulgową dla klasyków. A to już bardzo dużo! Reżyser skrupulatnie wykorzystywał każdą scenę w sztuce, którą można było pokazać w zbliżeniu bądź planie amerykańskim. Właśnie ta precyzyjna reżyseria pozwala nazwać „Alkada" udaną premierą. Do sukcesu spektaklu niemało przyczynili się aktorzy (mimo drobnych i nielicznych zresztą potknięć). Wypróbowany, a właściwie prawie stały zespół aktorski Teatru Popularnego znowu stanął na wysokości zadania. Świetną okazję do popisu wykorzystał Ludwik Benoit w roli Pedro Crespo, stwarzając ze wszech miar godną uwagi kreację. Z innych szczególnie Mieczysław Voit wybijał się swoją grą (a może dla niego warto było zostawić ten wątek?). Pisząc o reżyserii i aktorach nie sposób pominąć dobrej scenografii Jerzego Masłowskiego i świetnego opracowania muzycznego Stanisława Gerstenkorna. W sumie — doskonały wybór sztuki, dobra adaptacja, jeszcze lepsza reżyseria i aktorzy; wreszcie niewątpliwy sukces Teatru Popularnego, który przypomniał swe najlepsze dni.

TADEUSZ WIĄCEK

Polecamy audycje

Uwaga, Kobra! Nareszcie po długiej przerwie Teatr „Kobra" przedstawi widowisko „Śmierć w garnku" według znanej (i dobrej) powieści kryminalnej pod tym samym tytułem — H. K. Rönbloma. Reżyserować będzie Józef Słotwiński (oby bez fuchy), zobaczymy natomiast między innymi: dawno nieoglądanego A. Dmochowskiego, oraz Ewę Krzyżewską i Barbarę Drapińską. Również w czwartek (30. V.) Irena Dziedzic przedstawi kolejne „Tele-echo".

W piątek — 31. V. — kibice będą mieli okazję obejrzeć sprawozdanie z Mistrzostw Europy w Boksie, transmitowane przez Interwizję z Moskwy. Po krótkometrażówce bułgarskiej „Wspomnienia, wspomnienia..." o godz. 20.25 program „Kontury" (magazyn aktualności gospodarczych) i o godz. 21.00 z Pragi koncert symfoniczny „Praska wiosna". W programie utwory Mozarta.

Sobota przedstawia się bardziej ciekawie. I tak — dla dzieci prawie godzinny program z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka. O 17.40 polecamy obejrzeć „Wieczorne rozmowy". O 18.00 dalszy ciąg mistrzostw Europy w boksie (półfinały) i o godz. 20.30 dawno nieoglądany „Klaps", który w związku z rozpoczynającym się dorocznym Festiwalem Filmów Krótkometrażowych w Krakowie omówi wybrane zagadnienia z tej dziedziny produkcji filmowej, zapoczątkuje również nową i stałą odtąd pozycję w „Klapsie": komentarz filmowy przygotowany przez znanych krytyków filmowych. Również w sobotę obejrzymy dwa międzynarodowe programy rozrywkowe (ale urodzaj!): z Berlina „Od melodii do melodii" oraz z Budapesztu — „Orion — revue".

W niedzielę poza stałymi pozycjami programu, wysłuchamy koncertu muzyki ludowej w wykonaniu Zespołu Instrumentalnego pod dyrekcją F. Dzierżanowskiego. O godz. 19.20 „Chwila wspomnień" — następny odcinek kroniki filmowej. O godz. 20.30 program rozrywkowy.

TELEwizja

ELEGIA na powieść umęczoną

W ubiegły poniedziałek warszawski Teatr TV „dał nam poznać" wreszcie dawno zapowiadane „Dzieje jednego pocisku" — adaptację powieści Andrzeja Struga. Źle, powiedzmy raczej komiks na tle dowolnie wybranych fragmentów powieści. Biedny nasz pisarz! Nie był to bowiem spektakl, o którym pisarze marzą najgorzej... Zdumiewający brakiem konsekwencji, wahał się między egzystencjalistycznym dramatem psychologicznym, naiwną komedyjką, chwilami miał coś z KOBRY, zaś agrafką, mającą spiąć zgrabnie to wszystko, był alegoryczny, „stary robociarz" — podśpiewujący przy stoliku w knajpce parozwrotkową pieśń rewolucyjną. Była więc i wielka metafora. Bieda, że każdy z tych wątków nie wydawał się koniecznie potrzebny w kontekście z pozostałymi...

Spośród aktorów wyróżniłabym jedynie A. Kaszyńską i niezawodnego Cz. Roszkowskiego. Właściwie tylko oni zdołali ożywić postacie, które prezentowali. Reszta wykonawców, zdezorientowanych, sądzę tajemnym splotem koncepcji reżysera widowiska — nie wyszła poza ramy, jakże skromnych w swej prostocie, szablonów.

Prócz powyższych lamentów, płaczę także na okulistyczne efekty spektaklu. Przedziwne zamysły operatora w dziedzinie ekspozycji objawiły się tak śmiało, że wprost nie sposób było pojąć (chyba, że to miała być CZYSTA FORMA), dlaczego wystarczyło, bohaterowi nieznacznie się poruszyć, aby jego twarz, przed chwilą groźnie wyostrzona kompozycją ponurych światłocieni — rozpływała się nagle w feerii jasności, odbierając widzowi przyjemność rozpoznawania swoich ulubieńców.

20.V.63.

Teatr Telewizji (W-wa)

DZIEJE JEDNEGO POCISKU — w/g powieści A. Struga. Adaptacja — W. Dąbrowski.

Reżyseria — L. Tychowa.

Wykonawcy: A. Kaszyńska, M. Friedman, M. Kociniak, T. Kondrat, W. Kowalski, J. Kozakiewicz, M. Pawlicki, Cz. Roszkowski, Z. Salaburski, T. Surowa i inni.

HALINA KIJOWSKA

ODGŁOSY tygodnia

cyk

bezpłatny dodatek „Odgłosów tygodnia"

Idziemy w ślady bogów

A więc mamy stabilizację... jeśli chodzi o spożycie alkoholu w naszym kraju. To spożycie gwałtownie nam rosło. Proszę tylko zauważyć: w roku 1938 wynosiło 0,9 litra na obywatelogłowę, w 1950 roku — 2,3 litra, w 1957 roku już — 2,8 litra. A w roku 1960 notujemy wreszcie stabilizację na poziomie — 2,4 litra rocznie na Polaka. Czynniki stabilizacji są, różne, jeden z nich to podwyżka cen detalicznych z roku 1961.

A teraz kilka uwag na temat, co się u nas pije. Z przyjemnością obserwujemy pewien wzrost pomysłowości naszych dobropijców, a nawet wzrost kultury. Otóż nasze kochane ochlapusy przerzuciły się na alkohol stuprocentowy, albo inaczej — spirytus. W drugim półroczu 1962 roku nastąpił gwałtowny wzrost pokupności spirytusu, wyrażający się cyfrą 2625 tys. litrów. A ze spirytusu wszystko zrobisz, w zależności — rzecz prosta — od tego co nam handel da na przyprawkę — pomarańcze, ananasy, cytryny, cynamon itp.

Kultura to nic innego jak przejście na trunki szlachetne. I tu notujemy postęp. W roku 1938, za nieboszczki sanacji, która nie doceniała wagi zagadnienia, spożywano u nas 0,1 litra wina fabrycznego na głowę trąbopolaka, w roku 1962 już 4,9 litra. In vino veritas, stajemy się kulturalniejsi, ambrozję pili bogowie olimpijscy, wielcy twórcy cudowne wino klasy Alicante. Nie miejcie więc za złe pijącym po bramach. Oni naśladują bogów i artystów.

ZA UŚMIECH DZIECKA

O dziecku wiejskim pisała dawno temu smutne wiersze Maria Konopnicka. O dziecku wiejskim pisali też smutne opowiadania Prus i Sienkiewicz, jak również wielu innych pisarzy — literatura jest w tej dziedzinie niezwykle bogata.

O dziecku wiejskim można i teraz pisać smutne wiersze, reportaże z łezką, albo opowiadania z pointą. Cokolwiek by się jednak nie napisało o dziecku wiejskim, jedno pozostaje wciąż pewne, że jest ono najczęściej pozostawione swojemu własnemu losowi, że rzadko kiedy ma właściwą opiekę. Cóż, na wsiach nie ma przedszkoli...

Nie ma? — A właśnie, że są. Może niezupełnie przedszkola, ale może też i wiele więcej niż przedszkola. Nazywają się te miejsca Klubami Dziecięcymi. Znajdują dla siebie „przytułek" w najdziwniejszych pomieszczeniach: prywatnych izbach, świetlicach, szkołach. Województwo łódzkie posiada w tej chwili 76 takich Klubów Dziecięcych, w których opiekę znalazło prawie dwa tysiące dzieci.

Jak powstały te Kluby? W sposób najprostszy — bo oto na Krajowej Naradzie Dziewcząt Wiejskich padło hasło: „Dziewczęta — sercem wsi". I dziewczęta łódzkie zrozumiały to tak: w takim razie zaopiekujemy się maluchami. No i zaopiekowały się. Bez „etatów", bez wynagrodzenia. Pracują z dziećmi — „za ich uśmiech" — bezpłatnie. Nie jest to najłatwiejsza praca, jeżeli zważy się prymitywne warunki i brak środków finansowych. Kuratorium na ten cel nie płaci ani złotówki. Ba! Było niezwykle zgorszone inicjatywą dziewcząt ze Związku Młodzieży Wiejskiej, nawet się sprzeciwiało. No bo jak? — tak bez kwalifikacji?

Tymczasem społeczne opiekunki maluchów przeszły wszystkie odpowiednie kursy kwalifikacyjne — z budżetów ZMW oczywiście. Opiekują się więc dziećmi podopiecznymi — „za uśmiech", czytają im bajki, uczą wierszyków, piosenek, uczą rysować, bawić się w dziecięce gry: energia i pomysłowość dziewcząt jest tu niewyczerpana, urządzają składki wśród rodziców na zabawki dla „swoich" dzieci; pracują same społecznie, „zarabiając" w ten sposób również na zabawki dla „swoich dzieci".

Związek Młodzieży Wiejskiej w Łodzi urządził w Klubach Dziecięcych kilkanaście spotkań z pisarzami dziecięcymi — oczywiście ze swoich skromnych środków finansowych, z których zresztą w miarę możliwości — pomaga Klubom. Dziwne to jednak, że odpowiednie instytucje umywają w bardzo wygodny sposób ręce od Klubów Dziecięcych. Bardzo dziwne i bardzo zastanawiające.

Opiekunowie książek

Niektórzy twierdzą uparcie, że młodzież współczesna pozbawiona jest wyobraźni, ciekawości świata, a za najcięższy dowód przytaczają mniemanie — że... młodzież nie lubi czytać. Nie lubi czytać książek, a jeśli nawet czyta — to jakie? — Kryminały albo romanse — tak powiadają ci — jeszcze wciąż liczni oportuniści.

Niech i tak będzie. Tymczasem na łódzkiej wsi powstają i mnożą się w dziesiątki młodzieżowe koła Przyjaciół Bibliotek; młodzież z kół ZMW opiekuje się albo samodzielnie prowadzi punkty biblioteczne, urządza wieczory głośnego czytania — i tak dalej, i tak dalej. Na 46.728 członków ZMW naszego województwa aż 35 872 jest aktywnymi członkami i czytelnikami bibliotek gromadzkich czy punktów bibliotecznych. Na 1240 istniejących w województwie punktów bibliotecznych — 433 prowadzi młodzież ZMW. I to bardzo dobrze prowadzi. Niejednokrotnie lepiej od tak zwanych bibliotekarzy „na etatach". Na przykład we wsi Panaszew — powiat Poddębice — do momentu przejęcia punktu bibliotecznego przez koło ZMW — stan czytelników wyrażał się liczbą... osiemnastu; gdy punktem zaczęło się opiekować koło ZMW — liczba czytelników zwiększyła się do 118(!). Albo: gromadzka biblioteka w Drużbiu (pow. Poddębice) miała 50 czytelników, a po przejęciu jej przez koło ZMW — liczba czytelników wzrosła do 280. Tych kilka przytoczonych cyfr wystawia bezstronne świadectwo nie tylko pracy ZMW nad rozwojem czytelnictwa na wsi, lecz ponadto świadczy na korzyść młodzieży. Bo młodzież lubi czytać

I stąd ogromnym zainteresowaniem cieszy się Wiejska Olimpiada Czytelnicza. Ponad osiem tysięcy młodzieży złożyło swoje prace pisemne na temat określonej regulaminem książki. Zostały utworzone w wyniku Olimpiady 72 nowe Koła Przyjaciół Bibliotek, zorganizowano 87 nowych punktów bibliotecznych. Bo młodzież jednak lubi czytać...

TOS

Zaczyna się sezon. Oczywiście, nie myśliwski ale motorowy. Z Łodzi poza miasto wyruszają setki samochodów i motocykli. Zaczyna się sezon motorowy i zaczynają się narzekania na stacje Technicznej Obsługi Samochodów. Czy słusznie?

W rozmowie z dyrektorem Witeckim z TOS-u dowiedzieliśmy się, że okręg łódzki ma zaledwie 4 stacje obsługi z tym, że jedna z nich — pabianicka wykonuje wyłącznie naprawy wozów ciężarowych. Tu sezon nie ma nic do rzeczy, bo „Starem" nikt z dziewczyną na ksiuty nie jeździ.

Pozostałe dwie stacje obsługujące samochody (na ulicy Wigury — wyłącznie dwusuwowe, na Al. Kościuszki — czterosuwowe) przeprowadzają rocznie około 10 tys. napraw z czego lwia część przypada oczywiście na miesiące wiosenne i letnie. Niestety, ale kolejki (prawie jak po cytryny) są tu smutną koniecznością.

Tak zwana „motocyklownia" przy ul. Sienkiewicza przeprowadza natomiast rocznie około 16 tys. napraw plus prawie 10 tys. przeglądów gwarancyjnych. I tu są kolejki i tu padają gromy na głowy Bogu ducha winnych pracowników TOS-u.

A pracowników mają w TOS-ie pierwszej klasy. W ciągu ostatnich dwu lat ponad 30 techników i inżynierów zostało przeszkolonych i uzyskało dyplomy u producentów niemieckich, czeskich, węgierskich. Są więc specjaliści od Wartburgów, od Octavii są nawet tacy, którzy legitymują się dyplomami kilku zagranicznych wytwórni.

Na zakończenie możemy pocieszyć właścicieli czterech i dwu kółek, że niebawem rozpocznie się budowa łódzkiej Stacji Obsługi — jednej z największych inwestycji tego typu w Polsce. Ale o tym napiszemy osobno.

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW

JERZY ĆWIKLIŃSKI

JERZY ĆWIKLIŃSKI — aktor, konferansjer, humorysta. 15 lat gra w teatrze im. St. Jaracza. Taka długa wierność jednej scenie to rzecz wśród aktorów raczej rzadka. Do Łodzi przybył z Gdyni wraz ze swoim mistrzem Iwo Gallem. Gra role krańcowo różne, zarówno komediowe jak dramatyczne.

Z olbrzymiej ilości ról na uwagę zasługują: Crampton — w „Nigdy nie można przewidzieć" G. B. Shaw'a, Chlestakow w „Rewizorze", Trufaldino w „Słudze dwóch panów", Papkin w „Zemście", Książę Abreskow w „Żywym trupie", Stańczyk i Nos w „Weselu", Chapelle — w „Termitierze" Zb. Nienackiego, Diabeł Karborund w „Igraszkach z diabłem".

Obecnie gra rolę Enobarbusa w „Antoniuszu i Kleopatrze" Szekspira.

tekst i zdjęcia GERARD PUCIATO

Psychoza kaczego kupra

Nasz nieoceniony „Łódzki Express Ilustrowany" ogłosił lament anonimowego kibica sportowego z powodu sromotnej porażki naszej drużyny kolarskiej podczas Wyścigu Pokoju. Biedny kibic, zaraz mu się żyć odechciało, ani tu pracować, ani jeść i ani spać, skoro Fornalczyk nawala, skoro biją nas w kaczy kuper. Rozumiemy kibiców, dla nich najważniejszą rzeczą jest, aby nigdy nie dostać w kaczy kuper, jakakolwiek klęska sportowców oznacza u nich klęskę w skali narodowej. To nie Fornalczyk przegrał, czy Wandor, ale my wszyscy, z redakcją „Expressu" na czele.

Psychoza kaczego kupra staje się niebezpieczna, to już zresztą nie psychoza, ale chorobliwa obsesja. Straciliśmy prawo do Somosierry, konieczna jest szeroka dyskusja na temat pracy trenera Wandora — człowiek czyta tego rodzaju sformułowania w prasie i oczom nie wierzy. Co ma zatruty mięsem kolarz do ułanów Księcia Józefa, dlaczego szeroko dyskutować pracę p. Wandora, skoro nie dyskutujemy szeroko pracy dziennikarzy i sprawozdawców sportowych?

W Moskwie, proszę państwa, walczą nasi bokserzy. A jak się znowu coś nie uda i znowu dostaniemy w kaczy kuper? Co wtedy? Życie straci sens, będziemy się w naszych miejscach pracy obracać jak muchy w smole i w końcu dojdziemy do takich budujących stwierdzeń — jeżeli ŁKS, albo Start nie utrzymają przedostatnich miejsc w swoich ligach, to nam produkcja w Łodzi spadnie. Brońmy się więc przed obsesją kaczego kupra, nie uzależniajmy naszego samopoczucia narodowego od bicepsów, lewego sierpa i nieświeżego kotleta.

ANEGDOTY

do druku podał St. Chruściewski

KAROL ADWENTOWICZ

Karol Adwentowicz za swojej pierwszej dyrekcji w Łodzi wystawił sztukę Fryderyka Wolffa „Cjankali", walczącą o świadome macierzyństwo. Sztuka wywołała oburzenie klerykalno-mieszczańskich środowisk, doszło nawet do pożałowania godnych ekscesów na widowni. Prasa żądała zdjęcia sztuki z afisza, lecz Adwentowicz nie ustąpił.

Podczas jednego z przedstawień artysta stał za kulisami z maszynistą, gdy znów na widowni rozległy się gwizdy i okrzyki.

— Co zrobimy, panie dyrektorze, jak połamią krzesła? — spytał maszynista.

— Kupimy nowe i będziemy grać!

* * *

Po wyzwoleniu artysta był dyrektorem Teatru Powszechnego w Łodzi.

Pewien aktor zanudzał go, aby wystawił „Sułkowskiego" — Żeromskiego, zapewniając, że doskonale umie rolę i może zagrać na jednej próbie.

— Dobrze, wystawię. Ale kto, kochany panie, zagra Sułkowskiego?

* * *

Do łódzkiej kawiarni „Mocca", w której Adwentowicz bywał codziennie, weszły dwie studentki i podeszły zarumienione do artysty, prosząc o autografy na fotografiach.

— Czy paniom to tak bardzo potrzebne?

— My pana bardzo kochamy, bywamy na wszystkich sztukach, w których gra pan i ręce nam puchną od oklasków.

— Żałuję bardzo, że ja już kochać nie mogę — uśmiechnął się podpisując fotografie.

HUMOR AMERYKAŃSKI

Metody reklamy

...Wątpliwe, czy znajdzie się znawca napojów wyskokowych, który nie ceniłby amerykańskiej whisky.

Wielką rozkosz daje ten trunek, ale z niczym nie można porównać zadowolenia, które odczuwasz, gdy czytasz kartkę reklamową, przywiązaną do szyjki butelki.

Amerykański fabrykant wódek zwraca się do ludzi holdujących kieliszkowi:

„Jeżeli nie możesz się powstrzymać od picia, to dlaczego nie mógłbyś sobie sam zorganizować sprzedaży whisky u siebie w domu? Ponieważ jesteś jedynym kupującym, zezwolenie na prawo handlu tym napojem nie jest wcale potrzebne. Daj swojej żonie 55 dolarów, żeby kupiła skrzynkę whisky. Żona poda ci 240 razy po szklance. Będziesz jej płacił po 60 centów za szklankę. Po 12 dniach skrzynka będzie pusta. Twoja żona otrzyma 89 dolarów czystego zysku i złoży te pieniądze w banku. Za 55 dolarów znowu kupi skrzynkę whisky. Jeśli przeżyjesz 10 lat i przez cały czas będziesz pilnie przestrzegał tego porządku, to na dzień twojej śmierci twoja żona będzie miała na bieżącym rachunku 27.085 dolarów. Za te pieniądze będzie mogła godnie cię pochować, wykształcić osierocone dzieci, spłacić procenty od rat za wasz domek, wyjść za mąż za porządnego człowieka i w końcu zapomnieć o tym, że kiedykolwiek istniałeś na świecie".

Przekonywająca to i logiczna rada dla pijaków.

(B)

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 1.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17
Zam. 1656. V. 63. K-4